



N<sup>o</sup> 394.

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 13 kwietnia 1867 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Rączka, poezya (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Lęczyca (z trzema drzeworytami). — Wojciech Jerzy Boduszyński (z drzeworytem). — Kronika zagraniczna. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego (dokończenie). — Zwyczaj golenia głowy (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — O estetycznym wychowaniu kobiet. — Listy z wystawy paryzkiej. — Życie za życie (powieść pani Walery Morzkowskiej). — Helena, powieść T. T. Jeża, (dalszy ciąg).

**RĄCZKA.**

Mamże poruszyć Fidja-  
[sza,  
Gdy rączka którą ja zna-  
[łem  
Nie jego stref jest udzia-  
[łem?  
Rączka to bowiem jest  
[nasza,  
Rączka toczona, powa-  
[bna,  
Biała, nieduża, jedwa-  
[bna...  
Cóż z tego? może powie-  
[cie,  
Czyli to nowość na świe-  
[cie?  
Maż to być piosnki  
[przedmiotem  
I wartoż śpiewać li o tem?

Zaraz: że w wieszczęj  
[gorączce  
Śpiewać chcę tylko o  
[rączce,  
Powód w tém szusny i  
[wielki —  
Nie znałem jój właści-  
[cielki,  
Lub raczej ona mnie  
[tylko;  
Bo taka dumna królowa,  
Ze do mnie ani pół słowa,  
Nie udaruje ni chwilką.  
Nie znam jój czoła i oka,  
Bo ona spojrzeć nie ra-  
[czy,  
Choć w piersi nie tkwi  
[opoka:  
Mięknie — gdy kogoś zo-  
[baczy...  
Więc jam pozostał w u-  
[boczu;  
Do czoła, liców i oczu  
Żadnego nie mając pra-  
[wa,  
Umilka piosnka ciekawa.  
Lecz któż mi proszę za-  
[broni,  
Mówić o rączce, li o niej?

Bo jakżeż — rano, tak  
[wcześnie,  
Gdy oko jeszcze pół we  
[śnie,  
Już rączka półsen prze-  
[żegna,



Układ i rysunek Gierymskiego

I chór djabełków odegna;  
Później pokoik ubierze,  
Kwiaty przetrząśnie czy  
[świeże;  
Apóźniej, patrzcie! zdźbło  
[wody,  
Jedno, dwa rączki plus-  
[nienia —  
Ileż na licu urody,  
Ile rozbłyska natchnie-  
[nia!  
I znowu warkocz w obro-  
[tach,  
I rączka w jego uplotach  
Rwie, czesze mała ty-  
[ranka  
Z prawdziwie strasznym  
[nastrojem,  
Ale postawi na swoim:  
Jest arcydzieło do wian-  
[ka!  
Później się rączka wy-  
[suwa  
I gospodarzy i dzieli,  
Aż w domu rażniej, we-  
[selęj;  
Jój białość skarby wy-  
[snuwa,  
Jój żwawość tworzy, ład  
[czyni,  
Świeżość rozwija się przy  
[niej.  
Szeleści, biega jak my-  
[szka,  
Tu w locie trąci braci-  
[szka,  
Tam znów się komu  
[sprzeciwi  
I wszyscy z tego szczę-  
[śliwi.  
A kiedy chce być usłu-  
[żną,  
Gdy się otworzy z jał-  
[mużną,  
To z ruchem wdzięcznym  
[a błogim,  
To serca wtedy tam tyle,  
Że chciałoby się choć  
[chwile  
Być szczerze, iście ubo-  
[gim.

Dla kogóż pięć te palu-  
[szków?  
Kto je oceni jak warte?  
Czy znajdą godnych pięć  
[drużków?  
Czy będą lśnić nieprzy-  
[tarte?

Czy do tych kwiatów białości  
 Dłoń godna prawa swe rości?  
 Czy myślą spoi godziwą  
 To wdzięczne niebios ogniwo?  
 I czyli dosyć jest pewna,  
 Że białych skrzydeł nie złamie,  
 Gdy z nimi postać powiewna  
 Przychyli lubo swe ramię?

Otóż coś szuka w szufladce  
 Rączka i bieży ku matce,  
 I to coś błyska w jej zgięciu.  
 Nim znikniesz w świętym objęciu,  
 Żegnam cię, luba mi rączko,  
 Wszak błysk ten zwie się — obrączką.

Józef z Mazowsza.

## Kronika tygodniowa.

Biję się w piersi — zawiniłem.  
 Chciejcie posłuchać szczerzego wyznania.  
 Pisząc oddawna, od bardzo dawna niestety, sprawozdania tygodniowe, nazywałem się o nich różnych zdań na tę i ową stronę. Mniej więcej każdy piszący wystawiony jest na to.

Trzeba w tej walce życia silnym być szermierzem  
 I mieć serce podwójnym okute puklerzem,  
 I stać się jak lód zimnym na zarzuty, żeby  
 Od uprawy niewdzięcznej nie odstąpić gleby.

Ale mniejsza już o to: trudno wymagać żeby w wielkiej liczbie czytających jednostajnie panowały przekonania. Bajka Lafontena o młynarzu powtarza się ciągle i ten ktoby chciał wszystkim dogodzić i do wszystkich rad się zastosować, musiałby chyba głowę stracić, albo przestać pisać zupełnie.

Rozważywszy jednak różnorodne zarzuty, poczyniłem należne studia i przygotowania, i mogę wam zapowiedzieć, czytelnicy, kronikę ściśle utylitarną, którą wkrótce dla waszego zbudowania zamierzam oddać do druku, jako próbę dalszego szeregu prac tego rodzaju.

Zanim atoli zaprowadzę tę radykalną zmianę w dotychczasowym moim sposobie pisania, muszę dać pomieszczenie uwagom kilku moich korespondentów, które, chociaż ściśle do prawd naukowych nie należą, zawsze jednak, ze względu publicznego użytku, zasługują na ogłoszenie drukiem.

Otóż jeden z tych korespondentów pisze do nas list następującej treści.

„Widzieliśmy w tych dniach zaprowadzone w kilku już domach drewniane skrzynki z dnem dziurkowanym, dla wyléwania kuchennych odpadków. Ustawione na ściekach, przepuszczają do nich części płynne, zatrzymując stałe, które codziennie stróże przenoszą do głównego, w każdym domu znajdującego się śmietnika. Skoro władza policyjna troskliwie przestrzega, ażeby śmietniki te jaknajczęściej były wypróżniane, zbytecznym byłoby dowodzić jak pożyteczny prosty i łatwy ten środek wpłynię na oczyszczenie powietrza naszego miasta. Boć ulegające łatwemu rozkładowi, mianowicie w peryodzie zbliżających się upałów, różne kuchenne odpadki nie będą już ścieków zanieczyszczając, jak to dotąd bywało. Schudną kryjące się w tych ostatnich szczury, żyjące głównie temi naszą kuchni resztkami, a może otrzymując homeopatyczniejszą z każdym dniem strawę, powędrują nareszcie precz od nas.

Nie wiemy dziś kto pierwszy dał przykład tej użytecznej odmiany, ale postaramy się i o tym dowiedzieć.

Jesteśmy pewni że lekarski zarząd miasta, zbadawszy użyteczność tej domorosłej nowości, zobowiąże prawem właścicieli domów do najrychlejszego zaprowadzenia skrzyń dziurkowatych o których mowa.

Ileż to łyżeczek srebrnych i różnych innych drobnostek, codziennie prawie w ściekach przez specjalistów odgrzebywanych, zostanie w owych skrzynkach i wróci do nich przy poczciwości stróżów! Ileż z tego powodu oszczędzi się posądzeń i swarów pomiędzy służbą domową!

Wszakże niedawno gazety amerykańskie donosiły o poszukiwaniach poczynionych w Nowym Yorku przez różnych przemysłowców w tancecznych kanałach podmiejskich. Zyski z tych poszukiwań osiągnięte przez wynalezienie rozmaitych kosztownych przedmiotów, wraz z odpadkami miejskimi do kanałów wrzucanych, obrachowano na sta tysięcy dolarów. Przypuszczając nawet przesadę, zwykle w takich razach gazetom amerykańskim właściwą, śmiało jednak twierdzić można, że poszukiwacze obficie obłowić się musieli. A i w Warszawie ginących w ten sposób kosztownych przedmiotów spora pewnie jest liczba.

Pomijając jednak te drobnostki, wstawiamy się w imieniu ogółu do szanownych naszych posiadaczy domów, o rozpowszechnienie tych skrzynek podwórzowych. Wydatek, stosunkowo do korzyści prawie żaden, zaledwie na wzmiankę zasługuje.“

Piszą nam z Suchedniowa.

„Piękny pomysł mieszkańców Dąbrowy górniczej, o którym Tygodnik Ilustrowany w jednym z ostatnich numerów wspomniał, znalazł naśladowców pomiędzy urzędnikami okręgu wschodniego w Suchedniowie, którzy również zamierzają urządzić teatr amatorski na cele dobroczynne; lecz czy to dojdzie do skutku, albo czy po dojściu długo się utrzyma, trudno ręczyć. Wprawdzie jest już na to pozwolenie władzy, są członkowie, a nawet miejsce obrane w starym magazynie. Brak tylko pieniędzy. Na zaspokojenie pierwszych wydatków urządzoną być ma loterya fantowa. Oby tylko chęć nie chciała starczyć za uczynek, bo chociaż nowość bawi, trudno wiedzieć czy ona się prędko nie zestarzeje i czy koszta się powrócą. A szkoda by było, żeby tak piękna myśl sparaliżowaną została.

Nietylko większe miasta, ale i nasza osada, nie mająca pozoru nawet miasteczka, nie jest wolną od wyzyskiwania różnych spekulantów. W niedzielę dnia 31 marca r. b. afisze porozlepiane po fryszkach i chatach wieśniaczych ogłosiły wielkimi literami zapowiednię widowiska pod nazwą „Kunst-Cabinet stereoskopowy i Loterya fantowa,“ gdzie oprócz nasyceń oczów kilkoma widoczkami, można będzie jeszcze za cenę zakupionego biletu wygrać i drogocenny przedmiot. Przez całe pół dnia tłumy zalegały wejście do stereoskopowego gabinetu, zapełniając kieszenie przedsięwzięcia, w zamian nędznych groszowych fraszek, które hojnie jako wygrane rozdawano. Ale nie dziwić się wiejskiemu ludowi, ciągle oszukiwanemu i wracającemu w nadziei szczęśliwszego obłowu, znaleźli się bowiem i ludzie wykształceni, podzielaający to samo przekonanie, a jeden nawet nie pożałował dziewięciu rubli na tę nędzną spekulację, któreby jednak wydały mu się ciężkim podatkiem, gdyby mu je zapłacić przyszło za rzecz prawdziwego użytku.“

Niech się pocieszy korespondent: tacyż sami spekulanci prosperowali i w Warszawie, wyciągając grube pieniądze z naszego miasta, a żadne przedstawienie arcydzieła nawet scenicznego nie sprowadzi tyłu widzów do teatru, ile ich ścigało zapowiedziane przez magika ścięcie głowy i podanie jej na talerzu. Trudno nawet walczyć przeciw takiemu prądowi, bo przez to samo że ślepy on i bezwiedny, wszelkie napomnienia objają się o niego nadaremnie. Ludzie wiedzą że ich ktoś chce w pole wprowadzić, czują to, a jednak biegną płacić pieniądze, żeby się przekonąć w jaki sposób on to uczyni. I żeby chociaż raz, przekonawszy się, dali pokój tej nauce doświadczalnej; ale gdzie tam: za każdą świeżą sposobnością zawsze gotowi do odnowienia próby. Pod tym względem niema różnicy pomiędzy Suchedniowem, Warszawą a Paryżem nawet. Nie należy jednak spuścić tego z uwagi, że jeżeli wydawanie na marne zbytecznych zasobów materialnych jest tylko śmiesznością, to nieopatrne rozpraszanie resztek które się już nie wróca, jest grzechem nie do darowania.

Z radością witamy każdy nowy u nas pojaw w dziedzinie piśmiennictwa naukowego, témbardziej że podobnego rodzaju przedsięwzięcia wymagają nie już tylko pracy, ale odwagi nawet, ze względu na oziębłość jaką publiczność nasza zachowuje w po-

piéraniu dobrych i użytecznych książek. Redakcja Gazety lekarskiej zapowiada Bibliotekę umiejętności lekarskich, składającą się z szeregu dzieł, których opracowanie wzięli na siebie najznakomitsi specjaliści tutejsi, na czele których widziemy doktora Mianowskiego, rektora Szkoły głównej. Biblioteka składać się będzie z dwudziestu ósmiu tomów, pomiędzy którymi drobną zaledwie częścią zajmą przekłady z obcych języków. Całość, według prospektu, obejmie wszystkie gałęzie wiedzy lekarskiej, nie pod formą Encyklopedyi, ale oddzielnych, pojedyncze specjalności wyczerpujących traktatów, które utworzą prawdziwą bibliotekę umiejętności lekarskich. Pomiedzy innymi będzie tam zwrócona uwaga na ustalenie miejscowej terminologii lekarskiej i uczynienie jej przystępną dla ogółu lekarzy. W rzeczach naukowych sprawa to niemałej wagi, szczególniej u nas, gdzie dotychczas pod tym względem ogólna prawie anarchia panowała. Po co się posiłkować obcemi nazwami, kiedy możemy sami daleko właściwsze i przystępniejsze dla ogólnego pojęcia utworzyć? Szkoła główna ważne już pod tym względem oddała usługi, sama bowiem powaga tak znakomitej instytucji naukowej nadaje jej prawo do wszelkich tego rodzaju przedsięwzięć, które, aż do czasu jej założenia, pojedynczemi tylko wspieranymi wysiłkami, nie zdołały sobie zdobyć obywatelstwa w nauce. Niepłonną więc mamy nadzieję, że tak użyteczne przedsięwzięcie znajdzie chętne poparcie pomiędzy tymi zwłaszcza, którym postęp nauki lekarskiej powinienby najbardziej leżeć na sercu. A uwzględniając znaczną u nas liczbę lekarzy krajowych, nie wątpimy, że przy ich dobrej woli, koszta nakładu pokryją się z łatwością.

Tutejsi lubownicy muzyki z radością przyjęli wieść o przybyciu do Warszawy Antoniego Kątskiego. Fortepianista to europejskiej sławy i jeden z tych, którzy szeroko po świecie ucywilizowanym roznieśli rozgłos naszych talentów rodzimych. Antoni Kątski życie prawie całe spędził w podróżach, a przyjęcie jakie we wszystkich stolicach europejskich, mianowicie w Paryżu, Londynie i Madrycie, uzyskał, daje miarę jego wielkiego talentu. W Warszawie występował publicznie kilkanaście lat temu i całe nasze młodsze pokolenie zna go zaledwie tylko z nazwiska. Na jutro zapowiedziany jego koncert zapewne liczną ściągnie publiczność.

Podobno resursa Obywatelska ma zamiar wystąpić, ale już po świętach wielkanocnych, z porankiem muzyczno-deklamacyjnym, w którym oprócz zwykłej części muzycznej, wezmą także udział najznakomitsi artyści dramatyczni naszych teatrów. Rzecz zaiste ciekawa, a sam cel na który poranek: ten jest zapowiedziany budzi sympatyczne zajęcia w publiczności, wszyscy więc dopominają się o bilety, chociaż do puszczenia ich w obieg jeszcze nie przystąpiono. Spodziewamy się jednak że wkrótce można będzie oznaczyć stale dzień w którym poranek ów nastąpi; zależy to zaś głównie od stanu zdrowia Królikowskiego, który z ciężkiej podniósłszy się choroby, powoli tylko do sił powraca.

Otrzymałmy następujące zapytanie:

Szanowny panie.

„Przed kilku tygodniami wpadło mi w ręce kilka numerów jednego z pism magnetycznych wychodzących w Paryżu p. t. L'Union magnétique, redagowanego przez towarzystwo magnetyzerów i lekarzy. Z pisma tego wnószę, że magnetyczna metoda leczenia ma wielu i dzisiaj zwolenników, którym się udaje niemało pomyślnych przeprowadzać kuracyj. Ponieważ zaś i u nas przed kilku laty czytałem w jednym z pism lekarskich o kilku takich uleczeniach szczęśliwie dokonanych, przeto przeświadczenie o dotychczasowym istnieniu praktyki medycyno-magnetycznej obudziło we mnie ciekawość, czy też i u nas w obecnej chwili są lekarze, którzyby tego rodzaju środki do leczenia niektórych chorób zastosowywali. Udaję się więc do pana z prośbą, abyś w tej żywotnej kwestyi oświadczyć mnie raczył w kronice tygodniowej.“

O ile nam wiadomo, magnetyzm zwierzęcy, który szczególniej we Francyi i we Włoszech licznych znajduje zwolenników, a nawet i organa dziennikarskie wyłącznie mu poświęcające się, nigdzie jednak u-

rzędowo w leczeniu przyjęty nie został, a niektóre ciała naukowe powątpiewają dotąd jeszcze o istnieniu tej siły tajemniczej, niedostatecznie dotychczas zbadanej. Lekarze więc poświęcający się magnetyzmowi działają na własną rękę, nie utworzywszy wcale osobnej metody, z praktycznymi zastosowaniami. Wiemy zkadınad że i w Warszawie kilku lekarzy poświęcało się badaniom nad magnetyzmem zwierzęcym, często z pomyślnym skutkiem; nie mamy jednak prawa do wymienia publicznie ich nazwisk i tylko przyrzekamy, za zgłoszeniem się osobistém interesanta do redakcyi, udzielić mu niektóre bliższe informacye.

## Przegląd polityki zagranicznej.

12 kwietnia.

Niepokojące w przedmiocie kwestyi luksemburskiej pogłoski do tego wzmogły się stopnia, iż na początku bieżącego tygodnia powszechnie wierzone w blizki wybuch wojny między Francją i Prusami. Na wiadomość że Francja wysłała do Berlina ultimatum, zaciąga pożyczkę 300 milionów franków i powołuje marszałka Mac-Mahon z Algieru, wszystkie giełdy europejskie zatrwożyły się, tak że rząd francuzki zmuszonym był rozesać depesze telegraficzne, zaprzeczające urojonym obawom. Pomimo to wszakże gorączkowy nastrój Francuzów dotąd jeszcze uważa wojnę z Niemcami jako niezbędną następstwo dzisiejszego stanu rzeczy. W obec takiego usposobienia opinii publicznej, cesarz Napoleon polecił p. de Moustier, aby osobiście wyjaśnił w ciebie prawodawczém istotny stan układów o księstwo luksemburskie. Minister oświadczył tedy w izbie, że rząd cesarski pragnie pokoju i że z tego względu, na żądanie Holandyi, wszedł z nią w porozumienie o Luksemburg, lecz zanim układy zdołały przybrać charakter urzędowy, gabinet berliński powołał się na traktaty z roku 1839. Otóż Francja, pragnąc nabyć Luksemburg, nie inaczejby dokonała tego, jak pod trzema warunkami: 1) za dobrowolną zgodą księstwa, 2) za zbadaniem sumienném interesów wielkich mocarstw i 3) za głosowaniem powszechném ludności. Minister dodał, że rząd przystąpi do dzieła, kierując się duchem pojednania i spodziewa się że pokój naruszonym nie będzie. Tak więc posiadamy już dziś urzędowe zapewnienie, że tak zwana kwestya luksemburska nie jest chimera, lecz rzeczywistym faktem, który wprawdzie nie grozi dziś jeszcze wprost wojną, ale w razie oporu Prus łatwo ją zrodzić może. Ztąd naturalny popęd do tworzenia projektów godzących, neutralizujących Prusy, Holandya i Francja w ich żądaniach. Najgodniejszym uwagi jest projekt utworzenia niezawisłego księstwa luksemburskiego, co by zmusiło Prusaków do ustąpienia z fortecy, na korzyść zaś Francyi zrektyfikowanoby granicę belgijską. Na posiedzeniu ciała prawodawczego w d. 8 b. m. pan Thiers zażądał depesz dotyczących Luksemburga; lecz rząd, w osobie p. Rouher, odmówił, oświadczając iż żadnych tego rodzaju depesz nie posiada.

Z Meksyku wiadomości niepewne i zmieniające codziennie swój charakter. Wczoraj depesze zawiadomiły, że cesarz Maksymilian, pobity przez Juaristów pod Queretaro, cofa się ku brzegom morskim, dziś z Nowego Yorku donoszą, że republikanie pobici zostali i że cesarz wraca do stolicy. Dowodzi to tylko, że młody arcyksiążę do ostatka broni swych praw, aby wyjść z całej tej awantury z honorem przynależnym odwadze i wytrwałości. W Wiedniu otrzymano wiadomość z Paryża, że tam zanosi się znowu na zmiany ministerjalne i że pan Drouyn de Lhuys wraca do ministerjum spraw zagranicznych. Uzbrojenia we Francyi odbywają się z wielkim pośpiechem, donoszą bowiem że do połowy b. m. armia otrzyma 50,000 karabinów Chassepot, że w końcu kwietnia cała gwardya cesarska w broń tę zaopatrzoną zostanie i że w arsenał Vincennes odlęwają nowe armatki, pomysłu pułkownika de Brettes, które mogą być przez dwóch tylko ludzi usłużone i dają do sześciu strzałów kartaczowych na minutę. Dekretem cesarskim p. Schnejder mianowany został prezesem ciała prawodawczego, a hr. Walewski senatorem.

Kwestya luksemburska tak dalece roznamiętniła dziennikarstwo, iż dziś każdy fakt polityczny podciągany bywa pod pośredni lub bezpośredni z nią stosunek. Otóż i upadek gabinetu Ricasoli i zastąpienie go przez pana Ratazzi, uważają niektórzy za triumf polityki francuzkiej; wiadomo bowiem że baron Ricasoli nie cierpiał Francyi, a sprzyjał Prusom, pan Ratazzi zaś w odwrotnym zostaje stosunku do powyższych dwóch mocarstw. Nam się zdaje że mniemanie to jest błędem. Osobiste sympaty lub antypaty ministrów nie wchodzi tak dalece w rachunek, aby dla nich prawdziwy interes państwa mógł być naruszonym. P. Ratazzi z pewnością nie może być nieprzyjacielem Prus, które Włochom dały Wenecya, z drugiej zaś strony Francya pomocy Włoch nie potrzebuje. Stosunki rządu włoskiego z papieżem mogą polepszyć się w skutek ostatniej zmiany ministerjalnej, dotąd wszakże nadawniej pozostają stopie, oprócz lekkiego zbliżenia się za pomocą konwencyi, pozwalającej obu armiom, t. j. włoskiej i papieżkiej, przekraczać granice państwa przy wyprawach przeciwko bandytom. Nowe ministerjum włoskie składa się z następujących osób: pp. Ratazzi, Revel, Ferraris, Visconti, Tecchio, Corenti, Pescetto.

Dzienniki austriackie dowodzą, że gabinet wiedeński starać się winien o zachowanie najściślejszej neutralności w sporze francuzko-pruskim, najżywniejsze bowiem interesa Austrii wymagają, aby wojna była umiejscowioną; za przyczynę zaś tych rad podają przyszłe wypadki na Wschodzie. Mémoial diplomatique podaje także w depeszy z Wiednia z d. 5 kwietnia stanowcze zaprzeczenie, aby Austriya popierać miała hr. Bismarcka, od chwili bowiem jak wyszła ze Związku niemieckiego, zajmuje się jedynie własnymi sprawami. W dniu 6 b. m. otworzono sejm w Czechach, Morawii i Karyntyi, przyczém odczytano list cesarza Franciszka Józefa do p. Beust, wzywający do wyborów posłów do rady państwa. Dnia następnego (t. j. 7 b. m.) opozycya postanowiła nie przystąpić wcale do wyborów, w razie zaś zatwierdzenia wyborów z wielkich posiadłości ziemskich, opuścić gromadnie salę, założyć protest i nie brać udziału w tym sejmie. Rada państwa zebrać się ma w pierwszych dniach maja, posiedzenia jej wszakże przerwane zostaną, z powodu koronacyi cesarza w Peszcie.

**Ostatnie depesze. Paryż 9 kwietnia.** Presse ogłosiła adres Luksemburczyków, w którym upraszają króla holenderskiego, aby się zgodził na przyłączenie wielkiego księstwa do Francyi.

**Paryż 10 kwietnia.** Dziennik La France dowodzi, że gabinet pruski dlatego trzyma załogę w Luksemburgu i nie chce jej wycofać, że pragnie przyłączyć ten kraj do swoich dzierżaw. France ostrzega Prusy, że te plany nie przyjdą do skutku z taką łatwością, jak przyłączenie Hanoweru, Nassau lub Frankfurtu.

**Berlin 20 kwietnia.** Według Post, cesarz Napoleon zaproponował Austrii przymierze zaczepno-odporne przeciw Prusom, ale gabinet wiedeński odrzucił je.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)



Panu A. P. w Warszawie. Nadesłane rebusy są dobre i zostaną użyte. Prosimy o więcej podobnych.

Panom S. w Kujawskim, A. M. i W. G. w Warszawie, K. Z. w Łomży. Notatki z podróży, tudzież wiersze p. t. „Wspomnienie”, „Do skowronka”, „Dwie chwile” i „Wspomnienie” (bis), drukowane nie będą.

Panu A. B. C. w Maryampolu. Ponieważ termin tak zwanego prima Aprilis już minął, żądane więc objaśnienie tego zwyczajnego odłożenie musimy do roku przyszłego.

Panu A. M. autora „Gawęd pedagogicznych”, prosimy o ustne porozumienie się z nami.

Panu Z. S. z Kamiénca podolskiego. Korespondencya nie ma charakteru odrębnego. Datowałyby ją można równie dobrać z każdej innej miejscowości.

### I. Stary klasztor pp. norbertanek w Łęczycy.

W połowie panowania Zygmunta III, w czasach wielkiej żarliwości religijnej, Mikołaj Szczawiński kasztelan łęczycy fundował kościół ten i klasztor, którego poszarpane mury łatwo patrzącego w błąd wprowadzić mogą. Ruina to bardzo niedawna. Z tego powodu nastęcza nam się uwaga, że rodzina Szczawińskich nie miała u nas szczęścia. Przed dwoma wiekami bogata i można, obecnie tak podupadła, że zaledwie wtajemniczeni mogą wierzyć, iż kiedyś kościół z tego domu wychodził za mąż za Lubomirskich, a jeden Szczawiński zdobył się na budowę tak kosztowną, jak ten okazały klasztor w Łęczycy. Nieszczęście jakby towarzyszące tej rodzinie mieć chciało, że gmach ten, nie dawniej jak przed 250 laty stawiany, w tym niedługim czasie niesłychanemu uległ zniszczeniu. Wiadomo jak się dawniej u nas budowano: dotąd w dolnych izbach klasztoru można podziwiać warowne sklepienia i mury, nie mniej jak sześć stóp mające; tymczasem kościół klasztorny, może zbyt pospiesznie przez mularzy stawiany, porysował się, popękał i przedwczesnej uległ ruinie. Musiano też ztąd przenieść do Ozorkowa tablicę marmurową, jaką owemu kasztelanowi wnuk po bracie Jakubie ku pamięci wyręcił.

Na pierwszy rzut oka muiom tym dłuższy wiek przyznaćby można, atoli rok, data śmierci fundatora i wyrażenie starosty łęczycy, że dziad jego z fundamentu kościół zbudował, każą nam wierzyć iż wszystko nie starsze jest nad półtrzecia wieku. Za księstwa warszawskiego zakonnice, po zniesieniu klasztoru, przeniosły się do Strzelna w Kujawskim, budynek zaś stał się własnością skarbu, od którego później przez osoby prywatne nabytym został.

### II. Zamek łęczycy.

Od wielu lat widując te pępne, osypujące się gruzy, poczuwaliśmy się nieraz do obowiązku stania się głośnymi powiernikami ich losów, a tém samém i dziejów całej Łęczycy. Niepewni czy zamiar nasz kiedy dojdzie do skutku, spłacamy nateraz zbyt małą częśćkę tego długu, podając czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego widok szczytów zamku, wraz z pobieżnym rysem głośniejszych jego kolei.

Tu nad Bzurą, acz nie w tych ścianach, odbyło się w XII wieku zgromadzenie prawodawcze, które jednemu z królów polskich przydomek Sprawiedliwego zjednało. Mury jakie obecnie widzimy, przypisują Kaźmirzowi W.; on miał odbudować zamek Ziemowitów, przez Krzyżaków świeżo spalony. W każdym razie ruina ta liczy najmniej 500 lat istnienia.

Trzy wieki przeszły spokojnie; dopiero dwie wojny szwedzkie, dwa oblężenia (1656, 1705) zadały zamkowi cios, z którego nigdy się już nie wydzwignął. Sto lat temu już tutaj lustratorowie zastali „pokoje puste, bez okien, bez drzwi, zwód na łańcuszkach zniszczony, facyatę bramy blizką upadku.” Brama dwadzieścia trzy lat czekała jeszcze naprawy, wreszcie roku 1788 z więzaniem i dachem runęła.

W 1793 r. był województwo łęczycy dostało się królowi Fryderykowi Wilhelmowi II, wkrótce po jego mniej szczęśliwej za Renem kampanii. Prusacy zamek łęczycy uszanowali, owszem na dość mocną forteczkę zamienili; następnie usypane przez nich w około miasta szańce Austriacy (1809) rozrzucić kazali. Zamek zruinował ostatecznie miejscowy burmistrz, który te stare cegły na swój sposób chciał zużytkować. Padła naówczas (1834) wieża miedzią kryta i cały obwód ścian więcej jak na sześć stóp obciętym został. Tegocść murów, którym oskard podobać nie mógł, ocaliła je od dalszej grabieży.

Ciekawemi może byłyby dzieje wewnętrzne zamku i niejeden dramat jaki w tych murach mógł się odegrać. Wszak i tu, pod pancierzem czy pod atłasem, serca bić i namiętności wrzecz musiały. Nieszczęściem podań żadnych; nie tradycyja całkiem przerwana. Z tego świata, który coraz bardziej się depoeptyzuje, ów geniusz srebrnopióry, lubiący siadać na ruinach—legenda,—bezpownotnie uleciała. Była też powieść o jakichś skarbach, w podziemiach przez kulawego diabła strzeżonych; lecz w rzeczy tej ani poezyi, ani nawet charakteru dopatrzeć się

nie możemy. Zkąd skarby w Łęczycy? Zły zaś duch, to chyba ten co słodyczą zaprawiał brzegi roztruchanów. Ale to już minęło, jak minął dawny rozgłos zamku. Zostały tylko cztery ściany opasujące i jednopiętrowa o 3 oknach kamieniczka, mająca wyobrażać starą, mieszkalną część kastelu. W bramie, na miarę dawniej wysokości murów, stoi wyniosły filar, a na nim, zamiast korynckiego akantu, zwiesza się zielona murawa, podślana pod stopy pięknej, malowniczej sosence. To drobne drzewko, losem ponad ziemią zasiane, nadaje szczególnie poetyczne wejrzenie całej ruinie.

*Hieronim Ciemiński.*

### III. Archi-kolegiata we wsi Tumie pod Łęczycą.

Kościół dawniej archi-kolegiaty we wsi Tumie pod Łęczycą, jest jednym z najdawniejszych w kraju. Fundacja tej świątyni, wyryta na marmurowej tablicy umieszczonej w kościele staraniem jednego z przełożonych, opiewa: iż pierwsze jego założenie nastąpiło we dwa lata po przyjęciu przez Mieczysława wiary Chrystusowej, t. j. 967 r., a w r. 1180 stanął kościół w kształcie jaki niemal w zupełności do dziś się utrzymał.

Wprawdzie kilkakrotne pożary i następujące po nich restauracje zmieniły niektóre części budowli;

mury jednak zewnętrzne nawy głównej, frontowe wieże do wysokości dachów i presbyteryum, z przyległymi do niego skarbczykami w stylu romańskim, bez zawodu są z XI-go i XII-go wieku.

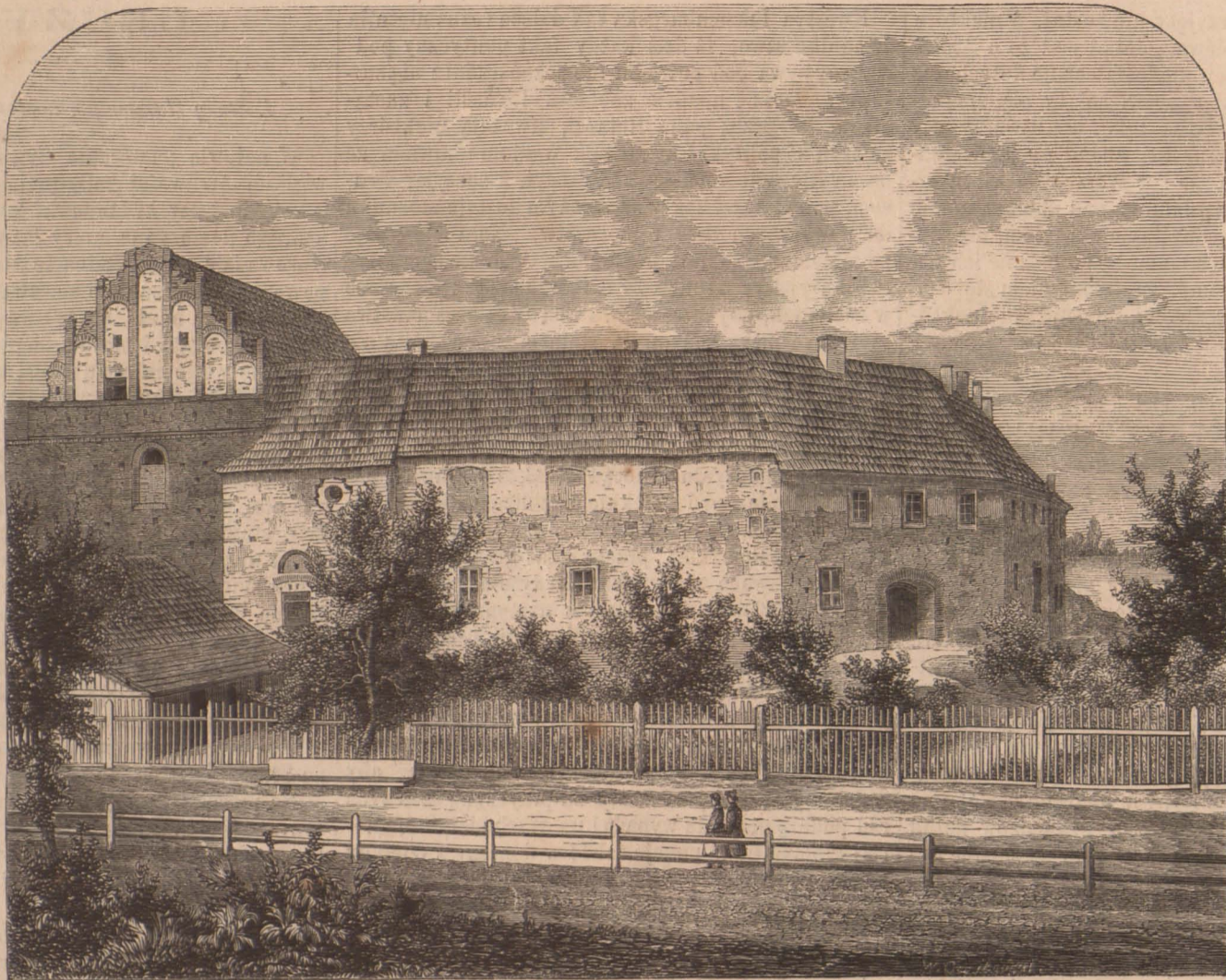
Niewiele mamy pamiątek z owjej epoki, a głównejsze pomiędzy nimi są: krypta kościoła katedralnego w Krakowie (w której grób Sobieskiego), kościół św. Andrzeja tamże, kościół kolegiaty w Kruszewicy i nareszcie kościół we wsi Tumie; naszkicowana tu zaś ozdoba drzwi bocznych tego ostat-

pomniki nader odległych sięgające czasów i niewiadomo czyje zawierających zwłoki, chociaż na pozór dosyć wyraźnie zdają się mieć dochowane napisy.

T.

**Wojciech Jerzy Boduszyński.**

Uczony ten lekarz i profesor wszechnicy jagiellońskiej, urodził się w Rzeszowie w Galicyi d. 22 kwie-



STARY KLASZTOR P. P. NORBERTANEK W ŁĘCZYCY. (Podług fotografii Brüll'a w Kaliszu).

nego, jako rzeźba, rzec można iż jest jedynym tego rodzaju w Królestwie pomnikiem.

Cały kościół w Tumie murowany jest z kamienia granitowego ciosanego, a ostatnimi czasy, uległszy dosyć znacznemu uszkodzeniu, został w przeszłym roku dokładnie wyrestaurowany. Restauracja ta odbyła się pod kierunkiem komitetu, z należnym względem na zachowanie pamiątek i poszanowaniem dla sztuki, ku czemu wiele się przyczynili miejscowy proboszcz i budowniczy powiatu p. Męczynóg. Skarbczyki przy presbyteryum, uległszy znacznemu zruinowaniu, z całą starannością i prawie zupełnie z tychże samych kamieni odmurowanemi zostały.

Odwieczny ten gmach ma nadto



SZCZĄTKI ZAMKU W ŁĘCZYCY. (Rysował z natury Królikowski)

tnia 1768 r., z ojca Michała sekretarza księżny Lubomirskiej. Nauki pobięrał najprzód w Rzeszowie, z kąd następnie udał się na uniwersytet lwowski, gdzie przez lat trzy słucał filozofii i innych pomocniczych nauk, jakie uznal za potrzebne dla ogólnego swego wykształcenia. Zasilony niemi, a znając prócz tego języki grecki, łaciński, francuzki, niemiecki, angielski i włoski, z pożytkiem już mógł poświęcić się ulubionej przez siebie nauce lekarskiej. Słuchał jęj tóz we Lwowie przez następane lat trzy, poczem zwabiony sławą Franka w Wiedniu, udał się do tój stolicy, aby korzystając z praktycznego i obfitego doświadczenia znakomitego profesora, lekarskie swe wykształcenie uzupełnić. Tam d. 13 września 1797 r. uzyskał stopień doktora medycyny, a według świadectwa Franka, w ciągu trzechletniego kursu, mimo znacznej liczby uczniów, Boduszyński zdolnością, pilnością i postępem w naukach nad wszystkimi górował.

W naukowych celach zwiędził jeszcze Czechy, Węgry, Prusy i inne kraje niemieckie, a następnie, wróciwszy do Galicyi r. 1798, rozpoczął praktyczną swą działalność najprzód we Lwowie, potem w Przemysłu, gdzie wkrótce umiał pozyskać sobie serca i zaufanie ogółu. Lubo w miarę tego zaufania zwiększyło się i jego zatrudnienie, nie zaniedbał przecież dalszej nad sobą pracy, poświęcając jęj w domu każdą wolną chwilę, oraz nie szczędząc starań w nabywaniu nowych dzieł i utrzymywaniu naukowych stosunków tak ze słynnym swym nauczycielem, jakotóz z innymi lekarzami, z którymi w czasie swych podróży się zapoznał. W kilka lat potóm mianował go rząd fizykiem obwodu tarnowskiego, a w roku 1805, w czasie gwałtownej epidemii, kierującym służbą lekarską. Za prace swoje na tём stanowisku odebrał piśmienną pochwałę.

Pomysł Jennera szczepienia ospy krowięj, żywe wtedy pomiędzy lekarzami wywoływał spory. Gdy jedni stanęli po stronie nowego pomysłu, inni zaś byli mu przeciwni, Boduszyński, wcześniej w tój mierze zdanie swoje ustaliwszy, w r. 1801 piérwszy z lekarzy zaprowadził szczepienie ospy i starał się bezpłatnie je rozszerzać, chociaż rząd dopiéro we dwa lata późnij środek ten zaradczy przeciw ospie naturalnej zalecił.

Po ówczesnych zmianach politycznych, gdy zwolna zaprowadzano niektóre reformy w wszechnicy krakowskiej i według nowego rozkładu katedr, nowymi zaczęto je obsadzać profesorami, Boduszyński zapragnął poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu w tym starożytnym grodzie, aby nauką swą wiedzą podzielić się z młodszem pokoleniem. W tym celu w końcu roku 1810 udał się najprzód do Krakowa, a następnie w styczniu do Warszawy, aby u ówczesnej Izby edukacyjnej starać się o katedrę profesora kliniki w Krakowie. Zanim atoli

osiągnął skutek swęj prószy, w przypuszczeniu pomyslnego wypadku, osiedlił się już całkiem w Krakowie, dokąd otrzymał paszport przesiedlający dnia 26 maja 1811 r.; władze zaś rządowe, chcąc tymczasowo już korzystać z jego zdolności, miano-

u ministra spraw wewnętrnych posadę lekarza św. Łazarza w Krakowie, dnia 9 listopada 1812 roku. Skutkiem nadzwyczajnego wysilenia w pracy złożony kilkomiesięczną chorobą, za ledwie odzyskał siły, oddał się znów z dawniejszą gorliwością obowiązkowi swego powołania i wytrwał w nich bez przerwy aż do zaprowadzenia nowego urzędzenia w uniwersytecie dnia 1 października 1814 roku. Od tąd Boduszyński nauczał patologii, terapii ogólnej i szczególnej wraz kliniką lekarską, tudzież higieny, semiotyki i farmakodynamiki.

Energicznie od przybyłego do Krakowa Stanisława Potockiego, domagał się przywrócenia przez kilka lat zawieszonyj możliwości udzielania stopni akademickich w Szkole głównej krakowskiej, wiedząc dobrze, jak bardzo to odstręcza uczniów, gdy zmuszeni są udawać się za granicę, dla uzyskania tam stopni rzeczonych. Podanie własnoręczne w tym przedmiocie, podpisane i przez innych członków wydziału, złożył dnia 17 kwietnia 1813 roku.

Gdy roku 1815 Kraków został wolnym miastem, zesłani pełnomocni komisarze trzech dworów zajęli się wewnętrznem urzędzeniem nowo utworzonego kraju. Uniwersytet krakowski utworzony został w swych prawach dawniejszych; Boduszyński zaś dnia 15 czerwca 1815 roku otrzymał nominacją na protomedyka wolnego miasta Krakowa, „jako mąż znany powszechnie tak z celujących talentów, jak i z gorliwości o dobro publiczne.“ Zresztą zachował w szkole to samo stanowisko, które mu w roku 1814 wyznaczone było. Dopiero roku 1818, z zaprowadzeniem nowego porządku w podziale katedr i wykładzie przedmiotów, upadły na



OZDOBA BOCZNYCH DRZWI KOŚCIOŁA WE WSI TUMIE POD ŁĘCZYCĄ. (rysował z natury Tournelle).



WOJCIECH JERZY BODUSZYŃSKI.

zdrowiu, zapragnął swobodniejszego nieco zatrudnienia i objął samą już tylko katedrę patologii i terapii ogólnej, higieny i farmakodynamiki, a zarazem, pomimo powszechnie zyskanego w kraju zaufania, usunął się od praktyki prywatnej.

W kilkanaście lat później, po krótkiej chorobie, zakończył życie dnia 22 sierpnia 1832 roku. Prezydent municypalności krakowskiej w roku 1814 wyrzekł o nim, iż: „publiczność nauczyła się uwielbiać w nim talent, naukę, rzadką ludzkość i przykłądną obyczajność.“ W dowód szacunku koledzy obrali go kilkakrotnie dziekanem wydziału, a gdy według pierwsiastkowego urzędzenia wolnego miasta Krakowa dwa miejsca w senacie przeznaczono dla członków uniwersytetu, Boduszyński był pierwszym któremu nadano tę godność dnia 18 grudnia 1816 roku. Jemu też dwukrotnie powierzył uniwersytet bronienie praw swoich w zgromadzeniach prawodawczych, to jest dnia 5 listopada 1819 i 14 października 1822 roku. Towarzystwo lekarskie w Wilnie mianowało go w roku 1819 swym członkiem korespondentem, a przy schyłku już życia, roku 1832, odebrał patent na członka honorowego od Towarzystwa lekarskiego w Warszawie.

## Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

X.

Chociaż Paryż i Francja nie wchodzą w zakres sprawozdań moich, spodziewam się że charakterystyczny fakt, jeśli się pochwycić go uda i pomieścić w korespondencji, za wielki grzech poczytanym mi być nie powinien.

W tej chwili nowe prawo prasowe, być bardzo może, zmieni warunki i fizyognomią dziennikarstwa paryzkiego; tém więc pilniej zanotować, do czego ono doszło w przedostatnich chwilach. Jeśli kiedy przyjdzie wam usłyszeć w domu utyskiwania na cześć lub lekkość treści pism waszych, pocieszcie się tém, że nie jest lepiej i gdzieindziej. Dla dania wyobrażenia czém dziennikarstwo francuzkie przyciąga, żywi i zajmuje czytelników, fakt tylko jeden przytoczę.

*Liberté*, organ p. de Girardin, która i ceną i treścią bardzo urozmaicona, stara się zaćmić swoich współzawodników, a dogodzić wszystkim gustom, gdyż mieści codziennie wiadomości z kilku różnych światów, wzięła się na doskonały sposób. Czytać i myśleć niekoniecznie potrzebują wszyscy, ale jeśli dobrze lubi niemal każdy Francuz. Otóż z pomocą reklamy, bębna i trąby, *Liberté* okryła sławą *Brillat'a Savarin'a*, kreowanego przez siebie smakosza p. barona Brisse i... daje codziennie artykuł... o obiedzie, kartę dobrego obiadu, sposób przyrządzania go, a nawet jedzenia. Artykuły barona sporządzone są także ze smakiem, z dowcipkiem i rodzajem zabawnego cynizmu. Baron Brisse ma się za wielkiego człowieka, za znakomitość swojego wieku; proteguje restauratorów, karcie rzeźników, licznym odpowiada korespondentom i głosi z trybuny zasady... smacznego obiadu... Naostatek obiad ten z jego przepisu codziennie się gotuje w *Café de l'Opéra*, gdzie go za sześć franków od osoby spożyć można.

Wszystko to uszłoby, jako pajacowskie schlebianie publiczności w małym dzienniczku; ale w obszernego rozmiaru dzienniku politycznym, z wielką powagą głoszone *Barnumowski* sposobem, jest upokarzające i śmieczne. Z tego możecie powziąć wyobrażenie, czém jest dziennikarstwo... czém będzie jutro — nie wiemy. Warunki materialne bytu wpływają na nieszczęście zbyt przeważnie na sam charakter pism, by nowa era, zwiastująca niektóre ulgi, wpłynęła wielce na podźwignięcie prasy. Pod wszystkimi względami jest ona w upadku.

Taż sama *Liberté*, której połowa zajęta jest anegdotami wystrzyganiami z innych dzienników, przez długi czas wstrzymywała się od felietonu, przez oszczędność. Teraz zdaje się że zmuszona jest do niego powrócić i już wybębnić wcześniej jakieś arcydzieło.

Ale odłożmy na stronę smutne fakta dotyczące się dziennikarstwa francuzkiego. Gdybyśmy je rege-

strować chcieli, morze mielibyśmy do wypicia. Na tém polu kwitnie dziś dowcip i anegdota.

To nas nieszczęśliwych korespondentów usprawiedliwia poniekąd, jeśli się czasem plotkami żywić musiemy. Zaczniemy właśnie od czegoś podobnego. W swoim czasie wiadomym być musiał czytelnikom tragiczny zgon słynnego w Niemczech o francuzkiem nazwisku *Ferdynanda Lassalle*. Był to wielki agitator klasy robotniczej, którego imię i dziś jeszcze jest popularnym pomiędzy rzemieślnikami w Prusiech i Saksonii. *Lassalle*, będąc w Genewie, z powodu sporu o piękną pannę *Helene von Dönniges*, córkę bawarskiego urzędnika, pojedynkował się z wołoskim szlachcicem *Rakowitzem* i w tej walce śmiertelnie ranyny poległ. Panna *Helena* poszła za *Wołocha*, ale ten wkrótce zachorował i umarł. Pozostała wdowa, osoba znakomitego wykształcenia i talentu, czując się powołaną do zawodu teatralnego, ma wkrótce wystąpić na królewskim teatrze w Berlinie. Niewiadomo jeszcze jak ten debiut się poszczęści, ale popularność *Lassalle*, pragnienie zobaczenia tej, dla której aż śmierć poniósł, już teraz gorącą obudza ciekawość i z pewnością występ pani *Rakowitz* będzie jednym z najświetniejszych przedstawień.

Nie zbywa też i gdzieindziej na pełnych nadziei nowościach scenicznych. W Rzymie zachwyca *la Sirenata* szalonym tańcem, tak że bukiety wozami za nią z teatru wywożą; tu bliżej w Wejmarze zapowiada się jako niesłychany sopran panna *Marya Hejrowska*, Galicyanka, córka austriackiego sztab-officera, uczenica wiedeńskiego *Procha*. W ogóle teatry są dosyć ożywione po świecie, chociaż więcej coś nad to co dają, czém żyją i zajmują wymagaćby po nich można. *Operetka*, farsa i komedia dowcipem przetykana, bez myśli poważniejszej, bez celu surowszego... panują wszędzie.

Tu i owdzie z tego morza pospolitości wypłynę starannie przedstawiony dramat *Schillera*, *Shakespeare'a*, *Calderona*; ale to tylko uroczystość wyjątkowa dla wyjątkowej publiczności... na dnie powszednie daje się chleb powszedni.

Przypisać to należy więcej okrętowi na scenie niż *Meyerbeerowi*, że jego *Afrykanka*, grana po raz pierwszy dnia 28 kwietnia 1865 r., doszła w Paryżu do... piszę wyraźnie, sto trzydziestej czwartej reprezentacji. Wszystkie teatry na których statek pomieścić się może jako tako, dają w Niemczech także *Afrykankę*. Powodzenie jej paryzkie należy do fenomenalnych. Od roku 1787 żadna opera nie doszła tak rychło do setnego przedstawienia; *Westalka* i *Kortez* czekały na to lat kilkanaście, *Hugonoci* trzy lata, *Robert*, *Niema z Portici*, *Prorok* we dwa dopiero doczekały się jubileuszu. Czy *Afrykanka* więcej warta od nich, to wielkie pytanie, ale miała dużo szczęścia.

W *Monachium* olbrzymi teatr, wedle pomysłu *Wagner'a* mający się budować, o którym już dawniej wspominaliśmy, a za który dosyć na projekcję hałasowano, podobno ma przyjść do skutku. Cała budowa kosztować będzie od 12 do 14 milionów florenów; ale mówią że król panujący, który ze swojej listy cywilnej ponosi kosztą wszystkie, wyznaczył na to rocznie tylko milion florenów, a zatem mieszkańcy *Monachium* lat czternaście czekać będą musieli na swe *Colosseum*. Wsławiona „węgierska *Rachel*“ jak ją tu zwano, panna *Lila Buljowska*, ulubiona artystka *Monachijczyków* (i króla), na dłuższy czas przez scenę tutejszą zamówioną została.

Pisaliśmy wam też o nowym teatrze w Lipsku, jeszcze nie skończonym, ale istotnie wspaniałym i godnym tego miasta, które choć słynie z jarmarków na skóry i futra, jest przecie jednym z najznakomitszych ognisk artystycznych i literackich w Niemczech. Życie duchowe rozwija się tu na swój sposób, w kółkach mających charakter właściwy, ale bujno i różnie. W *Frankfurcie* także dawny dyrektor teatru niemieckiego w *Poznaniu*, *Keller*, otrzymał od króla pruskiego przywilej na rodzaj teatru *Rozmaitości* (*Vaudeville*).

Pan *Keller* jest sam rodem z *Frankfurtu* i ma tu wielu dawnych przyjaciół. Przewidują nawet że sielu protegowany, może zagrozić istniejącemu teatrowi, odcinając od niego *Frankfurt*, który, mimo swęj znacznej i zamożnej ludności, z trudnością by na dwa starczył teatry. Widzieliśmy tego przykład

na *hamburskim Thalia*, który wielce zaszkodził staremu miejskiemu.

Dotknęliśmy tu, mówiąc o Lipsku i jego żywocie artystyczno-literackim, dosyć ciekawej kwestyi, która, zaszereka do ram naszej korespondencji, mogłaby do nader ciekawego porównawczego studium dać wątek. Ktokolwiek zetknął się w życiu z uczonym, z artystą, z literatem, ze znakomitością jakąś Niemiec (tych przynajmniej które znamy), niewątpliwie dostrzegł jedną wielką różnicę, jaka ludzi talentu i inteligencji tutejszych, dzieli od naszych. Nie mówimy o wykształceniu samém, które jest niewątpliwie wysokie i rzadko kto z nas sprostać mu może. Wszystko to są ludzie prawdziwej nauki, w swojej gałęzi stojący wysoko, często pełni ducha i poglądu dziwnie oryginalnego na świat. Ale skutkiem zapewne tego, że inteligencja i talent najczęściej rodzą się w klasie społeczeństwa najskromniej uposażonej, że wychowanie otwarte jest dla wszystkich, a lud ma w sobie soki żywotne silniejsze (gdy u nas pochodzenie inteligencji przeważnie idzie z klas zamożniejszych), dostrzega się w stosunkach z artystami, z uczonymi z podziwieniem tak zupełnej nieznanomości obyczajów, tego co się światem nazywa, takiej szorstkości i rażącej oryginalności w obyczajach, iż z razu trudno pogodzić wysoki stopień ukształcenia, z wysokim stopniem zaniedbania w innym względzie. Ci ludzie widocznie nie żyli nigdy ani naszym płochym życiem salonu, ani naszym konwencyonalnym towarzystwem. Większą część wolnych godzin, obyczajem narodu, spędzili w ogródku lub knajpie, i w salonie znajdują się słowo w słowo tak, jakby byli w gospodzie. Niekiedy nawet zasiadają w piaszczu, przybywszy z wizytą, i uważają za najprzypoitojsze nie zdejmować go w pokoj. Wielu z nich nie zna fraka, a prócz rękawiczek starych, nie wkłada innych, chyba idąc w deputacy na dwór królewski.

W ogóle świat tych ludzi, zresztą bardzo znakomitych, ciasnym się ogranicza kółkiem. Arystokratyczne towarzystwo niemieckie, zubożałe, odosabnia się lub trudnym jest w przyjęciu i przypuszczeniu do siebie. Artysta więc, literat styka się z górnymi strefami chyba na pokojach królewskich, gdzie nader podrzędne musi zajmować stanowisko, a nie żyje tylko w klasie średniej. Jest na salonach ciekawością, osobliwością, ale nie żywym człowiekiem, a to położenie oddziałuje nań naturalnie. Cóż dzikiego, bojaźliwego, niedowierzającego znajdziesz w tych biednych, często promykiem geniuszu ozłoconych czołach. Bądź co bądź, gdzie się wszystkie społeczeństwa klasy wzajem nie stykają, częściej tam na nich wszystkich smutnie znać to osamotnienie. To cośmy powiedzieli, wcale nie uwłacza niemieckim uczonym i artystom; owszem, mają oni daleko więcej oryginalności niż nasi, których szorstkie rogi obtarł salon, często do żywego — lecz wiele dla nich pozostaje rzeczy obcych, niezrozumiałych i na wieki zamkniętych, a znanych tylko z tradycyi lub książek.

(Dokończenie nastąpi.)

## KOESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

(Dokończenie.)

Paryż, 23 marca 1867.

Przedsiębiorstwa loteryjne, na które pozwolenie wyprasał, przedsiębiorstwa literackie, któremi kółkał do litości publicznej, pokazują, że nie umie poszanować własnej godności. Dawniej tworzył z natchnienia, dziś pisze dla pieniędzy. Znać to na ostatnich jego utworach, będących dziełem pióra, nie serca. „Nic potężnego, nic wielkiego nie może wyjść z pod pióra sprzedajnego,“ powiedział *J. Rousseau*, nie też i nie wyszło z pod pióra *Lamartina*, godnego stanąć obok dawniejszych jego dzieł. Język ten sam co i dawniej, w stylu znać mistrza, ale temu mistrzostwu brak ciepła.

Lecz nie o tém chciałem pisać. Bynajmniej nie mam zamiaru wdawać się w krytykowanie *Lamartina* jako poety i prozaika. Nawetbym tego i nie potrafił, nie czując w sobie krytycznego pomazania. Zamiarem moim było tylko zwrócić uwagę czytelnika na postać człowieka, który spadł z wysokości i nie umie sobie radzić na poziomie, a powodem w jakim ten zamiar się począł, jest, o czém zapewne wiecie, projekt rządowy, wniesiony w zgromadze-

niu prawodawczym obecnie w Paryżu obradującym, dotowania Lamartina summa 400,000 franków. Lamartinowi potrzeba 2,000,000 do wyjścia na czysto z interesów. Jemu dają piątą część tego. Z interesów więc nie wyjdzie i... i co? Nie umiem znaleźć wyrazu na oddanie dokładne myśli, którą w mojej głowie ta dotacja budzi. Powiadają bowiem że prosił, że mu odmówiono, że znów prosił i powoływał się na swoje zasługi. Zdaje mi się że stokroć chlubniej byłoby dla niego nie prosić wcale i raczej twardemu poddać się losowi. Do niegoż to należy przypominać własne zasługi? Jeżeli o nich zapominano, to albo nie zasługiwały na pamięć, albo też zapłacono za nie niewdzięcznością. W jednym i drugim razie nie godziło się wywieścić ich na widok publiczny przed współczesnymi, bo w jednym i drugim razie, czy dotacja zostanie uchwaloną, czy nie, Lamartinowi dostanie się... upokorzenie.

Wniosek rządowy wywołał krzywienie się ze strony deputowanych. Swoją drogą to krzywienie się nienajzaszczytniej świadczy o pp. reprezentantach narodu; boć zawsze Lamartine, to postać dziejowa, wydatna, stojąca w jednym szeregu z tymi, którymi Francja się chlubi. Kto wie czy potomkowie pokolenia reprezentowanego przez deputowanych zasiadających w roku 1867 na ławach zgromadzenia narodowego, nie uchwałą summy dwa razy większej niż czterystotysięcy franków, na postawienie Lamartinowi pomnika. Chociażby przeto przez wzgląd na potomność, warto nie krzywić się na wniosek rządowy, zwłaszcza po tylu innych dotacjach zawotowanych dla ludzi, którzy, jak to powiadają „ani się umywali“ do Lamartina.

Bądź co bądź, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pomimo krzywień się tego i owego, autor Medytacji dostanie dotacją, która mu niewiele pomoże, a niemało ubliży. Smutne to. Chciałoby się Lamartina widzieć czystym do końca.

Z porządku rzeczy, rozumiem się w moich notatkach, wypada mi pisać o *Galileusz*. Nie myślcie jednakże, ażeby zamierzał przenieść rzecz w wiek XVI i podnieść postać znakomitego autora „*Czterech dyalogów o systemie świata*“, albo też ażeby chciał przeprowadzić paralelę pomiędzy nim a Lamartinem, pomimo że w pewnym względzie podobna paralela możeby się przeprowadzić i dała. Tamten, przyciśniony niebezpieczeństwem, wyrzekł się przekonania; ten, przyciśniony niedostatkiem, wyrzekł się godności osobistej. Po tamtym jednakże pozostały wyrazy, z których postęp zrobił godło: „*e pur si muove*.“ Wyrazy te do rozmaitych już służyły użytków, niekiedy za pewien rodzaj parawana, którym maskowano zupełnie nie to, co one oznaczają. Pan *Ponsard* użył ich za temat do napisania utworu dramatycznego. Wziął zadanie trudne do rozwiązania i nie rozwiązał go tak, ażeby *e pur si muove* żyło i ruszało się na scenicznych deskach.

Utworowi swemu p. *Ponsard* dał tytuł *Galileusz*. Galileusz nie od razu uzyskał pozwolenie przedstawienia się na teatrze. Robiono pewne trudności; krążyły nawet wieści że jest zabronionym. Przedstawienie przeto Galileusza otoczonem było wonią owocu zakazanego, i ten, nie inny jest powód świętego powodzenia, jakiego ta sztuka doznała, a którego nie byłoby w zwykłych warunkach. Brak jej bowiem akcyi, życia, ruchu. Nie jest to właściwie dramat, ale raczej dyalogowany poemat i to dydaktyczny, napisany bardzo ładnie, mający w niektórych miejscach przyciski pióra porywające, lecz nie odpowiadający warunkom scenicznego utworu, może dlatego, że społeczna nam publiczność wymaga wrażeń silnych, mocno wzruszających i działających na nerwy.

Sądząc po tém, jak w naszych czasach piszą się i przyjmują dzieła dramatyczne, zdaje się że mamy nerwy grubsze aniżeli nasi przodkowie. Dla nich w komedyi wystarczały dowcipy, na których lepiej się znali niż my; dla nas dowcip musi być party śmiesznością sytuacji, karykaturą. Dla nich w tragedyi wystarczało opowiedzenie o okropnym wypadku; dla nas potrzeba ażeby wypadek odbył się przed naszymi oczami, inaczej nie wierzymy temu co się zdarzyć miało gdzieś za sceną. Patetyczne opowiadanie nie wywiera najmniejszego wrażenia; deklamacja będzie niby rozbity dzwon. Słuchamy z powziętym niejako z góry zamiarem nieprzywiązywania wiary do wyrazów. Można się o tém prze-

konać, przypatrując się publiczności podczas przedstawienia którego z klasycznych utworów, naprzykład *Britanikusa*, którego można widzieć w Odeonie, wywiązującego się świetnie z zadania, by utrzymać tradycyą klasycyzmu. *Britanikus* grany jest znakomicie. Aktorowie pojmują swoje role i wykonywają je z głębokim zrozumieniem i wystudowaniem każdego gestu i tonu. *Neron* jest *Neronom* takim, jakiego sobie tylko życzyć można. Dobrał-bo się człowiek, któremu *neronizm* z oczu, z oblicza i z całej postawy strzela. Złudzenie, powiedzić można jest zupełnem. Niemniej doskonałą jest *Agrypina*. Dwoje tych aktorów po mistrzowsku od początku do końca grają, a punktem kulminacyjnym ich gry jest scena rozmowy sam nasam pomiędzy matką i synem. Na *Agrypinie* znać rozdrażnienie miłości własnej, które ona usiłuje pohamować i okazać się spokojną. Przemawiając do syna, przypominając mu co dla niego zrobiła, stara się go przekonać i rozrzewnić. *Neron* słucha matki z drwiącą miną, i z taką samą miną cała publiczność słucha deklamacyi aktorki.

Patrzając na tę publiczność, na takiej sztuce jak *Britanikus*, mimowolnie przychodzi na myśl zapytanie: po co też oni chodzą do teatru? Zapytanie to zadałem jednemu z klakierów, który obok mnie siedział.

— Widzisz pan, otrzymałem odpowiedź, cóżby lepszemu mieli robić?...

— Ze zwyczaju więc?...

— Nietylko dlatego... Jest przyjemność w widzeniu tego licha... oh... *diable!*...

Zaciął się biédak. Nie wiedział co grają. Odpowiedziałem mu więc:

— *Britanikusa*...

Ale on niedobrze dosłyszał.

— *C'est ça...* Bri... Bri... eh!...

— Nie czytałeś pan *ańsza*?...

Zmieszała go nieco indagacya z mojej strony.

— Widzisz-bo pan, odrzekł, przybyłem z Lyonu i niedawno zaciągnąłem się do służby, to nie jestem jeszcze *au courant*...

— Ale będziesz klaskał, nie wiedząc o co chodzi, mozesz więc wyrwać się nie w porę.

— A... ba!... będę klaskał na znak... To bardzo łatwo... Niczego innego po nas nie wymagają, byle tylko człowiek wykazał się, iż posiada żądane przymioty.

— Cóż to za przymioty?... zapytałem w rozciekawieniu.

Klaskacz, zamiast odpowiedzi, pokazał mi dłoń. No dłoń-ż to były! jak łopaty! Nie zdarzyło mi się nigdy w życiu widzieć monstrualniejszych.

— Więc to są przymioty żądane?...

— A cóż, każdego człowieka obdarzyła natura jakimś talentem do życia mu przydatnym: aktora głosem, śpiewaka gardłem, muzykanta uchem, malarza okiem, klakiera dłonią, co dowodzi że klakier jest tak samo potrzebnym, jak aktor, śpiewak, muzykant i malarz.

Nie zgodziłbym się bezwarunkowo na zdanie przyradowego mego sąsiada, chociaż z drugiej strony przyznać należy, że, w zastosowaniu przynajmniej do *Britanikusa*, gdyby nie klakierzy, oklasków żadnych z pewnością by nie było. Publiczność najpoetyczniejszych ustępów słuchała z najzupełniejszą obojętnością i nie dosiedziała do tego momentu, kiedy *Agrypina* dowiaduje się o śmierci *Britanikusa*, która go spotkała... za kulisami. Zapewne powodem tego pośpiechu było to, że spektatorowie mieli przekonanie, iż *Britanikus* zamiast trucizny, pije sobie mazagrau w jednej z lepszych kawiarni, a życiu jego nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo.

Nowocześni spektatorowie wymagają na scenie akcyi, udaniej wprawdzie, ale jaknajdokładniej naśladowującej rzeczywistość, a nawet prześcigającej takową. Złudzenie jaskrawością podchwycionej prawdy, powinno działać na zmysły i wstrząsać nerwy. Ten sam *Britanikus* byłby okrytym rozsadzającemi salę oklaskami, gdyby zamiast umierać gdzieś tam, odegrał był jak należy przed oczami widzów komedya konania po otruciu.

Otóż korespondencya ma się już ku końcowi, a notatki moje jeszcze nie wyczerpane. Nawet o teatrze nie napisałem wszystkiego, coby pisać wypadało, a oprócz teatru na porządku dziennym tyle jeszcze jest przedmiotów: *Ingres*, *Cousin*, *boeuf gras*,

*Gustaw Doré*, *karnawał wielki i mały*, p. *Thiers*, *Monde des papillons*, najnowsza komedya *Aleksandra Dumas* (syna). Co z tém wszystkim robić? Odłożyć na później, czy puścić w zapomnienie? czy może zostawić, niech się ustoi jak wino i wytrawi przez miesiąc. Po miesiącu zobaczą: jeżeli przybędzie co nowego, puszczyć stare rzeczy w zapomnienie; jeżeli nic nie przybędzie, wyrzucić *boeuf gras* i *karnawał*, a na ich miejsce wyprowadzę praczki i przedstawię je w towarzystwie artystów i uczonych. Do przyszłej więc korespondencyi.

### Zwyczaj golenia głowy.

Golenie głowy jest dotąd we zwyczaju u wielu narodów, mianowicie na Wschodzie. Wymaga tego klimatu, rodzaj pokrycia głowy i dbałość o jej ochłodność. Z tych i innych przyczyn podobnież dawni Słowianie, wyjąwszy północnych, długo obyczaj ten u siebie zachowywali. Jeszcze w średnich wiekach Ruś zachodnia i południowa, Bułgarowie, Morawianie i Czesi, za zniewieściałość i hańbę poczytywali włosy długi na głowie, mieniąc to być znakiem krótkiego rozumu. Włosicianie gubernij zachodnich dotąd jeszcze podgalały czupryny. W związku z tém zostawał u Polan za czasów pogańskich obrządek postrzyżyn, który, jak wiadomo, odbywał się w 7m roku życia, z wielką uroczystością. Uchyliła to wiara chrześcijańska, ale postrzyżanie włosów długo jeszcze pozostało. Zatarła je dopiero u nas cywilizacya zachodnia, wprowadzając za sobą zwyczaje i ubiory w całej oświeconej Europie używane. Morałisci polscy oddawna narzekali na niestałość i rozmaitość jaka pod tym względem panowała. Stroje też i noszenie się dawnych Polaków były zawsze zmienne, a upodobanie w cudzoziemczyźnie powszechne. Gdy noszono długie suknie, zapuszczano i włosy długie, które trefiono i splatano w warkocze, jak to widziemy na przechowanych zabytkach obrazowych i rzeźbiarskich. Z krótszemi sukniemi, skrócono i czuprynę, tak że ledwo na samym wierzchu głowy pozostała.

Według zdania polskich kronikarzy dopiero za króla Olbrachta kłeska bukowińska 1497 r. stanowiąc cios długim włosom zadała. Ztąd poeta *Oboździński* w dziele „*Pandora monarchów*“ pisze:

„Z długimi cni Polacy włosami chodzili

I tym sposobem naszych Wołochy trapiłi,

Zawiazowali jednych na drzewie włosami,

A od tych czas Polacy golą się brzytwami..

Inni znów, jak *Strykowski*, utrzymują, że głównie przyczynić się do tego miała wygrana bitwa nad Tatarami pod *Wiśniowcem* czyli *Łopuszną* w roku 1512. Wtedy jakoby Polacy grube obyczaje porzucili, ubiorów długich a ciasnych z wyniosłemi nad głowę kołnierzami poprzestali, włosy, które przedtem w warkocze plecione długie nosili, poczęli wysoko strzydz i t. d. Do tego też czasu odnoszą przyjęcie od Tatarów ubioru tak zwanego kontuszowego. Cóżkolwiek bądź, golenie czupryny nie było wcale ustalone ani powszechne, jak o tém przekonywają pozostałe zabytki etnograficzne; należało jednak już do zwyczaju w połowie XVI stulecia. „Bo znajduje drugiego, mówi *Górnicki*, który wygolniejszy a wymuskawszy sobie czuprynę, już zaniędba i zapomni wszystkiego innego.“ (*Dworzanin* 1566 r.) *Nuncyusz* papieżki *Lippoman*, bawiący w Polsce od 1555 do 1557 r., opisując kraj, w swojej relacyi powiada, że Polacy podgalałi sobie wtedy głowy. Upada zatem dotychczasowe twierdzenie, jakoby sławny wojownik *Samuel Łaszczyca*, zmarły w roku 1649, pierwszym był wynalazcą strzyżenia czupryny wysoko, i że ztąd podgoloną czuprynę, podług *Satyra Rysińskiego*, *Łaszczyca* zwano.

Ze za dworem panującym szły zwyczaje i upodobania w kraju, przeto za *Batorego* mieliśmy mody węgierskie, a za *Wazów* szwedzkie. *Jan III Sobieski* wznowił kontusze i golone czupryny; *Sasi* dali nam peruki i stroje niemieckie, a *Stanisław August* francuzkie; co jednak nie przeszkodziło, że niektórzy dawnych obyczajów wiernie przestrzegający, przechowywali ciągle golone czupryny, aż do naszej pamięci.

Załączona tu rycina przedstawia dosyć oryginalny sposób strzyżenia i golenia czupryny, zwykle przed świętami wielkanocnymi, z chowywany dotąd u włosicjan na dawnym Polesiu.

### O estetycznym wychowaniu kobiety.

Wykład publiczny, miany w auli Szkoły Głównej, dnia 29go marca 1867 roku,

przez  
prof. dr. Henryka Struve.

*Kobieta jest srebrnym naczyniem, do którego włożyć należy złoty owoc.*  
Goethe.

Znowu o kobietach! Ileż to już w naszych czasach w tym względzie nie rozprawiano i rozumowano! to że stanowiska domowych obowiązków i przeznaczenia kobiety jako córki i siostry, żony i matki, to w celu wykazania jej praw socjalnych jako obywatelki, jej historycznego wpływu na rozwój ludzkości; to że względem na moralność; to znowu zwracając główną uwagę na fizyczny stan kobiety, na jej zdrowie i piękność; to dla podniesienia naukowego wykształcenia, dla ustalenia właściwego wychowania niewiast; to wreszcie z zamiarem obrony płci pięknej przeciw wszelkim teoryom stawiającym kobietę niżej od mężczyzn!

Czy tu podobna coś nowego powiedzieć? Czy wśród tysiąca dzieł, objawiających całą różnorodność męskich i niewieścich charakterów, napisanych bez żadnego względu na płeć autorów to z męską gruntownością i dumą, to z niewieścią obszernością i lekkością, czy wśród tej masy prac, mówię, rozbiierających jeden i ten sam przedmiot na podstawie tak różnych tendencji i zamiarów, można pomyśleć o wykryciu nowej strony, o zaciekawieniu nową myślą tak ciekawiej, według podania, natury niewieściej?

Cóż tu nowego powiedzieć, czegoby już dawno nie usłyszały nasze niewiasty, garnące się tak skwapliwie do nauki, jak gdyby chciały zadać kłamstwo literalnemu pochodzeniu swęj nazwy *niewiast*. A czyż zestawienie kobiety ze sztukami pięknymi i wykazanie znaczenia tych ostatnich dla piérwszej jest czémś nowém? Czyż to od czasów średniowiecznej romantyki wyrazy kobieta i piękność nie stały się synonimami, których rozerwać nie można? A poeci i artyści, czyż nie zużyli już oddawna w najrozlicniejszych wrotkach i tonach owego tematu,

styl odnoszących się do kobiety, wybrać jedną mniej opracowaną, a jednak również ważną, może ważniejszą od wielu innych. O wychowaniu kobiety nieskończenie wiele pisano, ale przy tém wszystkiém bardzo mało uwzględniono jego estetyczny charakter, bardzo mało zwrócono uwagi na właściwe pedagogiczne znaczenie sztuk pięknych. Poglądy na wychowanie kobiety rozdzielają się, jak w ogóle poglądy na jej zadanie i przeznaczenie, na dwa wprost przeciwne i nawzajem wyłączające się kierunki.

Jedni dowodzą, że zadanie kobiety jest wyłącznie praktyczno-domowe, a zatem i jej wychowanie ten kierunek przybrać winno; kobieta ma być wychowaną na dobrą gospodynię i kucharkę, na dobrą matkę, mogącą zaspokoić codzienne potrzeby swych dzieci, a conajwięcej na nauczycielkę elementarną, któraby potrafiła nauczyć swe dzieci abecadła i trochę katechizmu.

Czy taki prozaiczny pogląd na zadanie i wychowanie kobiety nie znajduje swych przedstawicieli tylko w ludziach małego ducha, niemogących się wznieść do wyższych pojęć? Bynajmniej, i męż-

zowie światli i filozofowie wyrażali nieraz podobne zdania o kobiecie i jej wychowaniu. Zmarły niedawno *Wiktor Cousin* wysłał niewiasty do kuchni i dowodził, że tam jest ich właściwe miejsce. *Labrucière* powiedział, że kobieta zła nie warta, a dobra jest conajwięcej dobrą kucharką. Znakomity ekonomista *Proudhon* dowodzi, że nie widzi dla kobiety żadnego innego wyboru, jak między zupełnym upadkiem, a zawodem domowej gospodyni. U nas, jak wiadomo, *Trentowski* podobnych zasad broni.



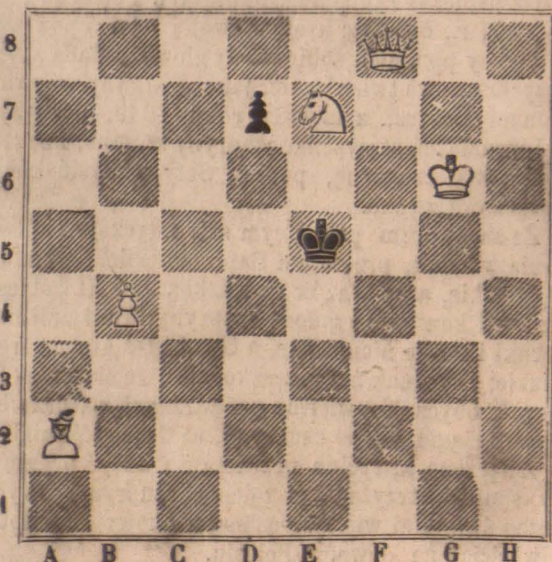
GOLENIE GŁÓW NA DAWNÉM POLESIU PRZED WIELKANOCĄ

### Szachy.

ZADANIE CCCL.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 349.

Białe.

Czarne.

- |  |  |
|--|--|
| 1) H3 - F1 . . .   | 1) Królowa jakkolwiek, oprócz [pól niżej wskazanych. |
| 2) Królowa biała daje szach królowi [i królowej czarnej, [tak że musi być [wzięta. | 2) Królowa biera królową.                            |
| 3) E3 - D5+ . . .  | 3) Królowa biera D5+ i mat.                          |
| 1) . . . . .   | 1) H8 - H1, H7 lub G7.                               |
| 2) D5 - B7+ . . .  | 2) Królowa biera B7+ i mat.                          |
| 1) . . . . .   | 1) H8 - A1+.   |
| 2) B8 - A7+ . . .  | 2) A1 - A7 biorą + i mat.                            |

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 393.

*Igły i szydła w worze  
Chować nie pomoże.*

### Rebus.



(Dodatek).



Zdanie zaś *Napoleona I* jest dobrze znanem; powiedział on że zepsucie nowszego społeczeństwa wynika głównie z tego, iż mężczyźni zbyt dobrze obchodzili się z kobietami, że im pozwalali wywierać wpływ na życie publiczne, zamiast je zamknąć w domu.

Inni zupełnie przeciwnie zapatrują się na kobiety, a w skutek tego i na jej wychowanie. Kobięta, mówią, pod względem umysłowym równa się w zupełności mężczyźnie; i ona, jak mężczyzna, zdolną jest do usilnej pracy umysłowej, do zawodu naukowego, do udziału w życiu publicznym; potrzeba tylko wykształcić jej rozum i dać jej wychowanie podobne do tego jakie mężczyźni odbierają. Emancypacja kobiety i jej bezwzględne równouprawnienie z mężczyzną, to sztandar tego poglądu; a chociaż w jego obronie nie wystąpiło wielu mężów poważnych i zasłużonych, to jednak same kobiety wydały genialne reprezentantki podobnej teorii, mogące się śmiało mierzyć z najdojrzałszym umysłem męzkim.

Pani *de Staël* pierwsza z właściwym jej zapałem przemówiła za emancypacją kobiety, szczególnie w swoich dziełach: *Delfinie* i *Korynnie*. *George Sand* nawet z rewolucyjną śmiałością domagała się takiej emancypacji, i życiem i czynem chciała dać przykład, że w niczem nie ustępuje mężczyźnie. A w najnowszych czasach *Daniel Stern* (hrabina *d'Agout*) w swoich *Esquisses Morales* 1860 r. z rzadką wymową i głęboką argumentacją powołuje płeć żeńską do udziału w sprawach społecznych, do pracy sumiennej i domaga się aby i wychowanie kobiety w tym kierunku działało.

Dla poparcia powyższych dążeń, odwołano się do znakomitych kobiet wszystkich wieków i do ich wielkich zasług dla całego rodu ludzkiego. Wskrzyszono nietylko duchy kobiet greckich, jak *Kleobuliny*, zajmującej zaszczytne miejsce obok siedmiu mędrców starożytnych; *Aspazyi*, uczącej Sokratesa i *Periklesa* krasomówstwa i polityki; *Saffony*, zachwycającej swymi utworami poetycznymi; *Hipaty*, owiej kaznodziejki z Aleksandrii, którą, z pominięciem jej płci, nazwano filozofem, i wielu, wielu innych mniej lub więcej znanych uczenie szkół filozoficznych Grecji; ale wskazano i na to, co kobiety w nowszych czasach pod naszymi oczami dokonały; jak niejedna, pomimo że odebrała niewieście wychowanie, jednak w naukach i sztukach pięknych zajmuje zaszczytne miejsce obok najzasłużonych mężczyzn. Czyż nie było dosyć wspomnieć o *Maryi Somerville*, co uczonemi dziełami swojemi pod tytułem *Mechanika nieba* i *Fizyczna geografia* zjednała sobie otwarte uznanie mężów jak astronoma *Herszla* i *Aleksandra Humboldta*, którzy jej naznaczają wysokie stanowisko między nowszymi matematykami? o *Mrs. Clarke* i *Miss Blackwell*, które pomimo wszelkiej zazdrości mężczyzn, uzyskały w końcu dyplomy na doktorów medycyny i następnie praktyką swoją zjednały sobie imię zręcznych i umiejętnych lekarzy? A uczone wykłady pani *Pape* w Paryżu i pani *Crombrugge* w Brukselli, zaszczytane obecnością i uznaniem wielu uczonych znakomitości, czyż nie są dowodem, że kobietę możnaby śmiało wpuszczać nawet na katedrę uniwersytecką? Cóż mówić dopiero o artystycznej działalności kobiety! Potrzeba tu tylko wspomnieć imiona rzeźbiarek, jak pani *Samon* i pani *Damer*, która jeszcze w 18 roku życia wykuła w marmurze zadziwiającego podobieństwa biust filozofa *Dawida Hume*; dalej malarzek jak *Anna Lisiewska*, były członek akademii sztuk pięknych w Paryżu; *Aniela Kaufmann*, którą *Winkelmann* i *Goethe* w Rzymie, *Elżbieta Lebrun*, którą wszystkie dwory europejskie i cały świat podziwiał, i w końcu jeszcze *Rosa Bonheur*, zaszczycona uznaniem cesarzowej francuskiej. A przy takich wysokich zdolnościach kobiet do nauk ścisłych i sztuk pięknych, czyż potrzeba jeszcze wieloma innemi powszechnie znanymi przykładami przekonywać, że kobięta z równą korzyścią jak mężczyzna pracować może na ogólniejszej niwie literatury i przyczyniać się do intelektualnego rozwoju ludzkości?

Dajcie, wolaż zatem stronicy tego poglądu, i kobiecie męskie wychowanie, uczcie ją w niższych szkołach języków i historii, nauk przyrodzonych i matematyki, posyłajcie ją na wyższe wykształcenie do uniwersytetów i szkół politechnicznych, a już w pierwszej generacji zobaczycie, że pod względem ustroju umysłowego nie zachodzi między kobietą a

mężczyzną żadna różnica, że tylko zniewieściele wychowanie winno temu, że dziś ogół kobiet pod względem nauk i sztuk nie stoi na równi z zazdrosnymi mężczyznami!

Nie myślimy z góry stanąć po stronie ani jednego ani drugiego z powyższych poglądów, ani przemówić za wychowaniem wyłącznie gospodarskiem, ani za emancypacją kobiety i jej bezwzględnem zrównaniem z mężczyzną. Jedna i druga z powyższych teorii wychodzi z mylnych i niewłaściwych podstaw, niemogących doprowadzić do rozwiązania kwestyi o przeznaczeniu i wychowaniu kobiety.

Czy dlatego, że społeczeństwo potrzebuje dobrych żon i matek, dobrych gospodyń i kucharek, wychowanie kobiety ma mieć wyłącznie na celu zaspokojenie tej potrzeby? Czyż w ogóle zdolność do przyszłego zawodu jest jedynym ideałem pedagoga, najwyższym prawem w kierownictwie młodego pokolenia? Czy człowiek sam w sobie, niezależnie od swego zawodu, nie ma żadnego znaczenia, żadnej wartości? Wedle tej zasady i wychowanie mężczyzny musiałyby od pierwszych początków mieć na oku przeważnie tylko jego przyszły zawód. Młodzież męzką należałoby wychowywać wyłącznie na przyszłych urzędników i żołnierzy, uczonych i techników, rzemieślników i rolników, bo to są jej przyszłe zawody. I w samej rzeczy, w skutek podobnej edukacji doszlibyśmy do tego, że społeczeństwo miałyby wielu znakomitych i zręcznych specjalistów, ale żadnych ludzi!

Jeżeli tedy każdy umiętny pedagog w męzkim wychowaniu nie ma wyłącznie względu na przyszły zawód swego wychowanka, ale obok tego dba i o to, aby dać mu pewne ogólne wychowanie, wszczepić w niego zasady, w skutek których mógłby kiedyś stać się prawdziwym człowiekiem i mężem, jednostką godną miana człowieka i mężczyzny: to dla jakiejże przyczyny mamy kobietę wychowywać wyłącznie ze względem na przyszły zawód, a z zupełnym zaniedbaniem ogólnych, od zawodu jej niezależnych wymagań?

Kobięta nie jest i nigdy nie będzie wyłącznie żoną, matką i gospodynią domu; zawsze obok tego jest i pozostanie człowiekiem i kobięta. A zatem i prawdziwe wychowanie kobiety nie powinno mieć wyłącznie na celu owego praktycznego zadania w życiu, ale rozwinąć i jej ogólne ludzkie dążności aby była zawsze prawdziwą kobietą, choćby nie była ani żoną, ani matką.

Kobięta nie ma być tylko przykutą do domu i nie wiedzieć co się po za szczytym zakresem domu w całym świecie dzieje; jako człowiek powinna mieć serce dla wszelkich prawdziwie ludzkich spraw, dla wszelkiego postępu życia społecznego, nauk i sztuk pięknych; a jako kobięta, stosownie do swoich sił i swego przyrodzonego uzdolnienia, stosownie do swjej fizycznej i duchowej natury, powinna brać czynny udział w udoskonaleniu i postępie rodu ludzkiego. Czas porzucić owe przesady, jakoby kobięta tylko wyłącznie w zawodzie żony i matki mogła być korzystną dla społeczeństwa, a po za tym zawodem była tylko ciężarem dla ludzkości; owe przesady jakoby praca ubliżała godności kobiety! Czas, wielki czas, aby przedewszystkiem same kobiety się przekonały, że ich stanowisko w społeczeństwie tylko o tyle polepszyć się może, o ile one same zajmą się sumienną pracą, odpowiednią do ich sił i uzdolnienia. Dziś każdy kto pracuje, robi istotną przysługę dla społeczeństwa i znajduje w niem godne utrzymanie; a kobiety, czyż mało mają pola do pracy, bez wszelkiego naruszenia swjej niewieściej godności? czyż owszem praca nie byłaby dla sta tysięcy kobiet aniołem stróżem, chroniącym je przed upadkiem, naznaczając im godne i szacunkiem otoczone stanowisko w społeczeństwie?

Pocieszającą jest rzeczą dla dzisiejszego społeczeństwa, że same kobiety z taką siłą domagają się udziału w pracy, właściwej dotąd tylko mężczyznom, że usilnym staraniem, niezwykłą wytrwałością, a przytém nieraz i wielkim uzdolnieniem dowodzą, że nie potrzebują być wiecznie zależne od łaski pierwszego lepszego mężczyzny, że nie potrzebują z narażeniem swjej godności dbać wyłącznie tylko o to, aby uzyskały męża, bez któregoby wotwarzystwie żyć nie mogły; lecz że własną pracą wywalczyć sobie mogą, jak każdy mężczyzna, stanowisko samodzielne, na którym stają się osobami niezależnymi, mogącymi oddać swoją rękę nie temu

tylko kto im zapewnia byt materyalny, ale temu, kogo uważają za istotnie godnego. Nowsza dążność do emancypacji kobiet i ich zrównania z mężczyzną, ma bezwątpienia to dobre w sobie, że się znacznie przyczyniła do podniesienia kobiety pod powyższymi względami.

Ale pomimo tego wszystkiego dalecy jesteście od przemówienia za źle zrozumianą emancypacją kobiety, za jej bezwzględnem zrównaniem z mężczyzną. Zbyt wysoko cenimy prawdziwą i niepokolanną naturę niewieście, abyśmy mieli sądzić, że kobięta dochodzi do szczytu swego przeznaczenia, gdy potrafi wsiąść na koń, wywijać biczykiem, palić cygara i rozprawiać o wszystkim z większą stanowczością, niż każdy rozumny i gruntownie wykształcony mężczyzna.

Przeznaczenie każdej istoty polega tak w naturze jak w świecie ducha zawsze tylko na tém, aby się stała coraz więcej samą sobą, aby rozwinęła prawdziwą i harmonijną swoją naturę, to znaczy wszystko, co w nią zarodkowo złożyła Opatrzność. Wszelkie odstępstwo od samego siebie, wszelkie stanie się czémś obcym, pociąga za sobą odstępstwo od prawdziwego przeznaczenia, od doskonałości. Kwiat ma być kwiatem, a nie trawą lub drzewem, człowiek człowiekiem, a nie zwierzęciem lub Bogiem. Tak kobięta ma się stać coraz więcej tém czém jest, to znaczy kobięta, a nigdy prawdziwą jej doskonałość nie polega na tém, aby się stała czémś innym, aby była mężczyzną, lub do niego podobną.

Różnica między mężczyzną a kobięta nie jest dowolnym wymysłem człowieka, nie jest wynikiem zmiennych poglądów czasu, lub błędnego zapatrywania się na stosunki społeczne, jakie np. ma miejsce w ustaleniu różnicy między panem a niewolnikiem; różnica powyższa polega na świętych i nienaruszalnych prawach natury i ducha; dlatego zniesienie takowej, jej bezwzględne zrównanie, jest sprzecznem z naturą, z myślą Opatrzności, urzeczywistniająca za pomocą tej różnicy swoje cele dla prawdziwego dobra rodu ludzkiego. Jak mężczyzna mija się ze swoim przeznaczeniem i staje się igraszką ludzi i świata, gdy się obлека szatą cnót niewieście, gdy jest zbyt skromnym i łagodnym, bez stanowczości i pewności siebie; tak też niema się czemu dziwić, że zdrowy rozsądek zawsze z pogardą i ironią spogląda na kobięta, która chce być mężczyzną, która się emancypuje od właściwej sobie natury i narzeka że się nie urodziła mężczyzną, w skutek czego staje się jego karykaturą.

Każda płeć ma swoje właściwe zalety i każda ma swoje strony ujemne, a to nawet do tego stopnia, że można prawie powiedzieć, iż zalety kobiety są wadami w mężczyźnie, a dobre przymioty ostatniego nie przyczyniają się bynajmniej do harmonijnego podniesienia pierwszej. Każde z nich posiada właściwą sobie doskonałość i może stanąć na najwyższym szczeblu ludzkości, gdy się staje wiernym typem swego rodzaju, gdy objawia nazewną właściwą sobie ideę.

Jakież jest tedy istotne przeznaczenie kobiety? co należy przez wychowanie przedewszystkiem pielęgnować w kobiecie, aby się stać mogła tém, czém być powinna, to znaczy jednym z czynników prawdziwego postępu ludzkości?

Otóż powiedzmy krótko: kobięta, według całego swego fizycznego i umysłowego układu, nie jest stworzoną ani do energicznego działania wśród stosunków ludzkich, wśród niespokojnego ruchu życia społecznego i politycznego, ani do wnikięcia w najgłębsze tajniki wiedzy ludzkiej, do pracy nad postępem i rozwojem ścisłych badań naukowych. Właściwym dla niej zakresem pracy i działania jest przedewszystkiem upiększenie i uprzyjemnienie życia, idealizowanie wszelkich praktycznych dążeń i rzeczywistych potrzeb człowieka.

Mężczyzna z natury swojej jest praktykiem, realistą, mającym wzgląd wyłącznie na rzeczywistość, na doczesne, ziemskie cele. Kobięta ma ten męzki realizm dopełniać wszechpięciem i zachowaniem w ludzkości wszelkich wyższych, idealnych poglądów, wszelkiej podniosłości ducha. Kobięta każda jest poetką z natury swojej; jej zadanie polega na wcieleniu idei i poezji w życie. Jeżeli mężczyzna potęgą swego umysłu, energią swjej woli chciałby podnieść swoje ziemię materyalną do wysokości nieba, to kobięta odwrotnie pragnęłaby niebo sprowadzić na ziemię, być aniołem zwiastującym obecność Boga,

idei na ziemi, wśród bytu rzeczywistego. I tylko wspólna praca mężczyzny i kobiety może ich doprowadzić do osiągnięcia wspólnego celu, przy tak różnym i odwrotnym działaniu. Mężczyzna sam nigdy nie podźwignie swęj ziemi pod niebiosa, kobieta sama nigdy nie sprowadzi nieba na ziemię; ale wspólne ich działanie zbliża coraz bardziej te dwa krańce ludzkiego istnienia, rzeczywistość i idealność, i ustala możność ich ostatecznego i harmonijnego połączenia.

Idealizowanie rzeczywistości, pielegnowanie wszelkich prawdziwie idealnych dążeń, oto zawód kobiety jako kobiety, oto jej najwyższe zadanie, bez względu na stanowisko jakie w towarzystwie zajmuje, czy będzie żoną i matką, czy też wyrobi sobie samodzielne stanowisko poza obrębem rodziny.

(Dokończenie nastąpi).

## LISTY Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

Paryż, 3 kwietnia 1867.

Tak więc tylokrotnie zapowiadany, zaprzeczany, podawany w wątpliwość, to znów potwierdzany fakt otwarcia wystawy międzynarodowej, spełniony został, a spełniony w dniu i godzinie oddawna z góry naznaczonej. Przed dwoma jeszcze tygodniami, co mówię, przed dwoma dniami poprzedzającymi otwarcie, połowa Paryża wątpiła o tem i po części zasadnie. Całe przestrzenie niezapełnione, stopy pak nieotwarte, roboty przygotowawcze w wielu częściach niewykończone, wszystko to kazało przypuszczać czasową zwłokę. Żelazna jednak wola, która tu wszystkiem kieruje, nie dała się zachwiać; napróżno ten lub ów kraj prosił o chwilę cierpliwości, napróżno ta lub owa część świata wskazywała na otaczającą ją próżnię: nie to nie pomogło i dziś, po otwarciu wystawy, każdy sam siebie pyta, czy rzeczywistość opóźnienie lub zwłoka byłaby potrzebną. Prawda że Prusy stoją jeszcze otworem, że nie są ostatecznie urządzone, ale materiał jest gotów i na jeden raz staną przed nami w pełnym rynsztunku. We Włoszech także wielkipanuje nieład, ale nazeewnątrz zdobne, wyświeżone, lśniące, porządkują się w cichości. Przed dwoma tygodniami wątpiliśmy o Anglii, nie wiedzieliśmy czy i o ile na nią liczyć można, a jednak Anglia wywołała w dniu otwarcia ogólne uwielbienie. Nie minie miesiąc, dajmy na to sześć tygodni, a każdy drobiazg, każdy szczegół znajdzie się na swoim miejscu i nowożytna wieża Babel, okatalogowana, ponumerowana, oszklona, stanie przed nami w całej świętości i blasku. W historii przemysłowego, a nawet artystycznego życia narodów data 1-go kwietnia 1867 r. pamiętną stanowić będzie epokę. Wszystkie części świata, wszystkie kraje i zakątki kuli ziemskiej, wszystkie dary jakimi Opatrzność ziemię uposażyła, stanęły sobie oko w oko. Rezultaty wiekowych prac, pokoleniowych nauk, plemiennych wysiłków, stają tu w ostatecznym swém wyrażeniu, powtarzamy ostatecznym, nie dlatego aby dalej pójść nie miały, ale dlatego że wszystko co tu nagromadzone zostało, jest najdoskonalszym ostatecznej chwili wyrazem.

Cofając się myślą w historyczną przeszłość, widzimy że przemysł i handel korzystały z każdej sposobności, jaką podarzało zgromadzenie się ludności w pewnych momentach i miejscowościach, aby tym sposobem ułatwić zbyt plodów swęj pracy. Igrzyska olimpijskie i istmijskie, uroczystości religijne nad brzegami Gangesu, święta Paschy w Jeruzolimie, zwabiały kupców z najodleglejszych zakątków ziemi i były jedynymi wówczas rynkami międzynarodowego handlu. Średniowieczne jarmarki i targi, odbywające się zrazu w tych jedynie miejscach, gdzie uroczystości kościelne sprowadzały ludność okoliczną, gdzie handlowe tranzakcje ograniczały się na nabyciu przedmiotów codziennego życia i artykułów niezbędnych, wyrodziły następnie owe walne jarmarki Korduby, Szampanii, Norymbergi, Lipska, Frankfurtu, Nowogrodu, zasilane produktami Europy i Azji. Stopniowe ułatwianie komunikacji, usuwanie przeszkód tamujących handlowe stosunki ludów między sobą, wzrost dobrobytu przenikającego do najniższych warstw społecznych, a przedewszystkiem przemysłowa działalność niektórych narodów, zmuszająca je niejako do wytwarzania coraz nowych środków zbytu, — wszystkie te okoliczności razem wzięte,

dały początek *wystawom*, w ścisłym, nowożytnym tego wyrazu znaczeniu. Pierwsza tego rodzaju wystawa odbyła się w Anglii w r. 1761. Była to wystawa machin i modeli, których skład i działanie objaśniali zgromadzonemu widzom właściwi technicy i inżynierowie. Powodzenie jej musiało być niewątpliwe, skoro jednocześnie z zamknięciem, zapowiedziano na rok następny drugą, w daleko obszerniejszych już rozmiarach; wypadki jednak polityczne stanęły jej na przeszkodzie i dopiero w trzydzieści kilka lat potem, nie w Anglii już, ale we Francji, staraniem Franciszka de Neufchateau, urządzoną została w r. 1798 wystawa przemysłu francuzkiego, na tém samym miejscu, na którym odbywa się i obecna. Pierwszy konsul Bonaparte, idąc za przykładem Fr. de Neufchateau, urządził powtórna wystawę w Luvrze r. 1801, przy udziale zaledwie dwustu wystawców, która to cyfra w roku następnym wzrosła do 600. Odtąd powtarzane periodycznie co lat 5 wystawy francuzkie ponawiały się do roku 1849, w którym liczono 4500 wystawców.

Przykład Francji nie znalazł zrazu naśladownictwa, gdyż dopiero w roku 1817 widzimy wystawę przemysłu krajowego w Kassel, w r. 1818 w Warszawie, Monachium, Augsburgu i Norymberdze. Właściwa jednak gorączka wystawnicza datuje od r. 1820, tak że dziś niema w Europie kraju, niema nawet ważniejszego miasta, któreby w rocznikach swoich nie mieściło wzmianki o wystawie.

Jeżeli myśl pierwszej wystawy przemysłowej, jak to powiedzieliśmy wyżej, była angielska, to projekt pierwszej międzynarodowej wystawy był czysto francuzki. Datuje on od r. 1834 i podejmowanym był nawet w Izbie deputowanych, lecz upadł w obec uporu przemysłowców, obawiających się współzawodnictwa, oraz rządu, kierującego się wówczas zasadami opiekuńczymi. W lat sześćnaście potem książę Albert, prezes londyńskiego *Society of arts*, wyrzekł na jednym z posiedzeń towarzystwa pamiętne wyrazy: „*Exhibitions are better than prohibitions*“ (\*) i dał hasło wystawie powszechnej, otworzonej w Hyde-Parku 1-go maja 1851. We dwa lata niespełna takąż samą wystawę urządzano w Nowym-Yorku, następnie roku 1855 w Paryżu, roku 1862 znowu w Londynie, wreszcie terazniejszą w Paryżu. Kiedy pierwsza wystawa londyńska z r. 1851 liczyła 13,988 wystawców, paryzka z 1855 r. 18,055, londyńska z 1862 r. 24,684, obecna liczy ich 42,217, z której to cyfry jedna czwarta przypada na samą Francją. Kiedy pierwsza zajmowała 95,000 metrów kwadratowych przestrzeni, dzisiejsza zapełnia obszar 460,000 metrów, z których na sam gmach przypada 150,000 m. Tylko w ruchu zwiedzających niema tak znakomitego wzrostu, gdyż wystawę londyńską z r. 1851, zwiedzało dziennie przecięciowo osób 42,800 osób, paryzką z r. 1855 tylko 22,780, a londyńską z r. 1862 około 36,000. Jaki będzie ruch na wystawie terazniejszej, przewidzieć trudno. Kierując się głosem publicznym, który uważa ją za *ostatnią*, należałoby mniemać że okoliczność ta wpłynąć powinna zachęcająco na tych, którzy nie mogli lub nie chcieli korzystać z poprzednich; sądząc zaś z tego co się w około nas dzieje, możnaby wróżyć przeciwnie. Zachmurzony horyzont polityczny, opóźnienie w wykończeniu, a nadewszystko niepoohamowana, bezczelna, że tak powiem, chciwość paryzkich hotelników i restauratorów, czyhających jak na łup na każdego cudzoziemca, odstraszy niewątpliwe wielu.

Dziś już, kiedy napływ zamiejskiej ludności jest prawie żaden, ceny mieszkań bajecznie wzrastają; z właścicielami umawiać się tylko można na tygodnie, z trudnością, i to w najodleglejszych punktach Paryża, na jeden miesiąc; cóż dopiero będzie później.

Biorąc rzeczy na zimno, nie można się nawet dziwić owej chęci wyzyskiwania, ten bowiem a nie inny cel przewodniczył myśli obecnej wystawy. Szumne frazesy pokojowego współzawodnictwa, bratnich zapasów na polu przemysłu i sztuki, przyjacielskiego najazdu i t. p. są czystą ironią w obec rzeczywistości, w obec nieukrywanego wreszcie zadania, nasunięcia ludności francuzkiej środków nagromadzenia w czasie jak można najkrótszym kapitału piędzennego, bez którego pożyczka państwowa jest rzeczą niemożliwą. Paryż myśl tę odgadł, pojął, przetrwał i dziś żarliwie wprowadza ją w wykonanie. Starzy i młodzi, artyści i kucharze, kupey

(\*) Ekshibicje lepsze są od prohibicji.

i literaci, aktorzy i żałobnicy, pałace i kramy, ogrody i cmentarze, wszystko odświeżone, odczyszczone, wyłoczone, wylakierowane, czeka na zamorskie sójki, ciągnące tu ze wszystkich stron świata, by złote znosić jaja. Czy jednak rachuby te nie zostaną pomyłone, a przynajmniej w części zawiedzione, niezadługo przekonamy się o tem.

Pomijając tę ujemną stronę owego pamiętnego przedsięwzięcia, a przechodząc do stron dodatnich, najsurowszy nawet sędzia zaprzeczyc nie może ogromnych korzyści, jakie społeczeństwo w ostatnim wyniku z podobnego zestawienia w jednym miejscu i czasie tylu najróżnorodniejszych pierwiastków i czynników umysłowego i materialnego życia odnieść powinno i odnosi.

Dla państw i rządów wystawa podobna jest miarą dokładną i jasno odzwierciedlającą rezultat rozwoju ekonomicznego i intelektualnego ludów, jest dowodem wybitnym właściwości, lub też niestosowności środków i urządzeń państwowych, dążących do powstrzymania lub rozwinięcia żywotności narodowej, której najwymowniejszym wyrazem są utwory przemysłu i sztuki. Na tym publicznym ludów popisie nie się nie ukryje, wszystkie pożyczane barwy, niudolne naśladownictwa, zasklepione chropowatości wychodzą na jaw w zupełnej nagości.

Dla pojedynczych producentów i fabrykantów niewyczerpane zasoby ulepszeń i udokładnień nastrecza wskazanie pierwotnych źródeł materii, która w ognisku samém nabyta, przekształcona, umiejętnie użyta, przemysłowcom przysporzy mienia, kupcowi tworzy nowe pole sprzedaży, krajowi przyczyni bogactwa.

Dla prostego robotnika jest to nieoceniona szkoła pracy, bodziec do postępu i doskonalenia się. Najwymowniejsze odczyty dla rzemieślników, najpopularniejsze wykłady wieczorne nie nauczą tyle, ile kilkogodzinna przechadzka po galerii maszyn, gdzie wszystkie silnie, od najprostszyc aż do najkunsztowniej złożonych, działają jednocześnie w obec zdumionego widza. Podobna podróż po świecie zawartym na dwuwiorstowej powierzchni, z niczem porównać się nie da.

Przechodząc do samej wystawy, nie będę wam powtarzał szczegółów jej otwarcia, bo znacie je już z dzienników, powiem tylko że wyjątkowym sposobem po sześciu tygodniach bezustannych deszczów, zimna i niepogody, dzień 1 kwietnia zajaśniał najpiękniejszym słońcem. Od samego też rana cały Paryż był na nogach; trzy koleje żelazne, pięćset omnibusów krzyżujących się z różnych stron miasta, cała flotyła statków parowych (*bateaux à vapeur-omnibus*) umyślnie na czas wystawy urządzonych, niezliczony szereg powozów i tłumy pieszych — wszystko to ciągnęło ku miejscu wystawy. Wzgórza Trocadero, rozciągające się po prawej stronie Sekwany w kształcie amfiteatru, na 1 i pół wiorstowej przestrzeni, przed dwoma jeszcze miesiącami strome, spadziste, niedostępne, dziś wyrównane, splantowane, poprzecinane ulicami i chodnikami, zdobne wspaniałymi wschodami wykutymi w samej ścianie góry i pokrytymi doskonałym asfaltem — wzgórze to mówię zasypane było ludem, którego ilość wprawni statystycy tutejsi podają na 300,000.

Rzeczywiście prace dokonane na Trocadero w tak krótkim przeciągu czasu są dziełem olbrzymiém; 6000 ludzi, 500 koni i 6 lokomotyw pracowało tu bezustannie, przy współdziałaniu 24 min, rozsadzających dwa razy tygodniowo odporne skały.

Na pięć minut przed drugą ukazał się orszak cesarski, a przebywszy mały most Jena, punkt o godzinie 2ej powóz cesarza wjechał w okolenie wystawy. W gmachu samym i w tak zwanym parku było około 10,000 obecnych. Sto i dwudziesto-frankowa publiczność nie należy do entuzjastów; przyjęcie było godne i umiarkowane, tém bardziej że w ścisłości każdy myślał więcej o sobie niż o okrzykach. Wspaniała istotnie chwila nastąpiła wówczas, gdy para cesarska powitaną została w progach samego budynku dźwiękami orkiestry wojskowej, poważnym pieniem organów, a nadewszystko hukiem maszyn, na jeden raz w ruch puszczonej. Wewnątrz gmachu, tuż przy ścianach, umieszczoną jest owa olbrzymia galeria maszyn, środkiem której ciągnie się żelazny na wysokości piętra kółka, długości wiorstowej. Bokiem tego kółka przez całą długość biegnie walec żelazny, obracany działaniem olbrzymiej maszyny parowej wznoszącej

# ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

## WSTĘP.

Miałem dwadzieścia trzy lata, gdy po raz pierwszy poznałem stryja mego. Nagłe nieszczęście, niespodziana śmierć ojca, powołała mnie do kraju z zagranicy, gdzie kończyłem nauki. Powróciłem do rodzinnego domu i zastałem matkę w grubej żałobie, braci i siostry sierotami.

Ojciec mój był jednym z tych cichych, niezmordowanych pracowników, dla których majątek rozwija tylko zakres działalności; wychowany byłem w tych zasadach, w tym kierunku. Teraz nagle śmierć jego zwała na mnie cały ciężar zarządu rozległego majątku i prowadzenia dalej przedsięwzięcia, w które z umysłem czynnym, z nieustanną pracą rzucił wielkie kapitały.

Czułem i rozumiałem niepowrotną stratę jaką poniosłem, ale niewolno mi było oddawać się żalowi i w nim zamykać. Przyszłość rodziny, przyszłość myśli którym mój ojciec życie poświęcił, wymagały całej energii mojej.

I tak w pierwszych latach młodości wciągnięty zostałem w nieubłagane koło obowiązków twardych, nieledwie przenoszących siły moje. Brakło mi doświadczenia i wprawy, brakło mi tego bystrego schwylenia przedmiotu i rzetności opartej na pewnikach, która cechowała ojca mego; musiałem ją zastępować pracą i wolą.

Wówczas to po raz pierwszy poznałem stryja Edwarda. Oddawna jednak imię jego, powtarzane półgłosem przy rodzinnym ognisku, jak legenda tajemnicza dręczyło ciekawość dzieciinną i niepokoiło mój umysł; marzyłem o nim, śniłem czasami. Stryj mój, o kilka lat młodszy od ojca, samotny odludek-artysta, długi czas błąkał się po obcych krajach, często lata całe nie dając wieści o sobie. Powrócił wreszcie i osiadł w Polsce, ale dla rodziny i kraju straconym pozostał. Pomimo ogromnego majątku, wiódł życie pustelnicze prawie; twarze ludzkie odstraszały go niejako; zerwał wszystkie stosunki łączące go ze światem, i nawet ojciec mój, któremu powierzył całe swoje mienie, widywał go z rzadka, dla załatwiania tylko koniecznych interesów. Unas nie bywał nigdy. Jakie były stosunki pomiędzy braćmi? nie wiem. Ojciec mój, człowiek czynu i pracy, był skąpym w słowa; i ja też byłem zamłody jeszcze, w czasie gdy opuszczał dom rodzicielski, by mógł mówić zemną jak z człowiekiem i powierzać mi tajemnice rodzinne. Nie wiedziałem nawet czy on sam znał przyczyny tego dzikiego osamotnienia brata.

Czasem tylko, gdy się zabłąkał na polowaniu, wśród otaczających nieprzebranych lasów, widziałem zdaleka dom jego, nad stromym wąwozem, zawieszony na skale, zbudowany w kształcie wieży gotyckiej z czerwonej cegły, której krwista barwa odbijała od otaczających jodeł i świerków. Ta wieża otoczona wysokim murem, wraz z przestrzenią lasu stanowiącą jakoby jej ogród, panowała zdaleka nad dziką okolicą i wyniesiona ponad otaczające wzgórza, zdawała się wyzywać gromy, wystawiona na wszystkie wichry i burze. Sam stryj mój, po powrocie z wędrówek swoich, wybrał tę miejscowość i zbudował ten dom fantastyczny, w którym zamknął się jakby w grobie.

Nieraz przypatrywałem mu się zdaleka, a moja młoda wyobraźnia stawiała mi obraz tego człowieka pod rozmaitemi postaciami. W domu był portret jego, malowany w pierwszych latach młodości, przez jednego ze sławnych nowożytnych mistrzów, a portret ten, wielkich rozmiarów, otoczony czarem jaki artysta umiał zakląć w dzieło sztuki, był to cały obraz, cały poemat nieledwie.

Przedstawiał on człowieka lat może dwudziestu pięciu, ujmującej powierzchowności, w myśliwskim wytworknym stroju, uwydatniającym szlachetny wdzięk postaci, wśród krajobrazu którego rozpoznać nie mogłem, choć był to krajobraz zdjęty z naszej północnej natury, pełen jodeł, brzoź i kalin. Młody człowiek, jakby zgubiony w głębi tej leśnej przestrzeni, stał wsparty na szyi stojącego obok wierzchowca, którego ogniste oko i rozdęte nozdrze zdawało się skrami pryskać. Ten koń kary, z gwiazdą

na czole, był piękny jak owe fantastyczne rumaki legend szatańskich, które unoszą jeźdźca do zagrobowych krain, a głowa jego jakby żywa wychodziła się zdawała z szerokich ram obrazu i zginać niechętnie pod ręką pana.

Widok tyłu maszyn działających tak zgodnie, a tak różnorodnie, z taką potęgą i prawie samowiedzą, najubożniejszego nawet i obytego z wrażeniami wprowadzić musi w osłupienie. Kiedy jedna gniecie jak masło, lub skręca jak sznur jedwabny potężne sztaby żelaza, inna obok stojąca snuje w cichości powiewną jak pajęczyna tkanę; kiedy jedna kraje ostrym nożem łom kamienia, inna miota z siebie różnobarwne wstążki; kiedy jedna wylania z swych wnętrzości zwoje papieru, inna papier ten chwyta, przecina i w najróżnorodniejsze układa stosy. Prawda że wszystkie kraje przysłały tu swe maszyny, żaden jednak nie może iść pod tym względem z Anglią w zawody. Tytaniczna potęga Wielkiej Brytanii jaśnieje tu w całym blasku; maszyna angielska, to istota która żyje, drga, czuje, zna swą godność i wartość; maszyna angielska, to najdoskonalszy przejaw rozumu, nauki, pracy, wolności i bogactwa.

Przebiegłszy Anglią, dostaliśmy się do Francji. Tam znowu świat całkiem odmienny: miękkość, harmonia barw, woń dobrego towarzystwa, wykwiśniętość najudatniejsza, czystość i wykończenie szczegółów nie pozostawiające nic do życzenia. Dość wspomnieć jeden tylko oddział noszący napis „Manufactures Impériales,” Sevres, Gobeliny, Beauvais, trzy nazwy świecące jak dyamenty w rocznikach przemysłu francuzkiego.

Po przejściu wreszcie orszaku dworskiego, zacząłem nas szukać. Znalazłem. Chociaż wystawa rosyjska, mieszcząca w sobie i plody przemysłu polskiego, finlandzkiego i kaukaskiego, jest już prawie arządzoną, z pierwszego jednak wrażenia, i to chwilowego, sądu o niej wydać nie można. Pod względem architektoniczno-dekoratorskim ma swoją właściwą cechę; ciągiem ulicy noszącej nazwę *Rue de Russie*, idzie kilka salonów; po stronie przeciwniej są Włochy. Wystawie sobie np. ulicę Miodową, po jednej stronie pokrytą udatnymi szalowaniami, wyrzynamy z drzewa kratowaniami i szczytami w guście słowiańsko-byzantyńskim; po drugiej stronie Włochy wewnątrz jeszcze puste, ale na zewnątrz udekorowane w najdoskonalszym smaku z epoki odrodzenia; czystość linii, zgodność kolorów, rysunek ornamentów naśladowujący najklasycyjsze wzory z epoki złotego wieku sztuki włoskiej. To przeciwstawienie dwóch odmiennych całkiem typów mile wpada w oko i korzystnym jest dla obu.

Nad głównym wnijsiem do oddziału sztuk pięknych w wystawie rosyjskiej, umieszczono znany wam, ale dla mnie obcy dotąd obraz Gersona „*Oplakane Apostolstwo*.”

Simlera *Jadwiga* jeszcze nie była ustawioną, ale przed zwłokami *Barbary* widziałem wielu ciekawych. Prześliczny ten obraz, nader korzystnie umieszczony, każdego zwraca uwagę. W ogóle na zakończenie dzisiejszej korespondencji to powiedzić mogę, że wszystkie nasze przedmioty (jest ich bardzo niewiele) stosunkowo bardzo starannie są ulokowane i że przybyły bez najmniejszego uszkodzenia. Wspomnę także iż fotografie warszawskie, mianowicie też Klocha i Dutkiewicza, oraz Fajansa, w porównaniu z zagranicznymi, nie wyłączając paryzkich, są wyborne, a nawet lepsze od nich. Angielskich jeszcze nie rozwieszono, a wiedeńskie jutro dopiero otworzą.

Rysunków z wystawy żadnych dotąd przysłać wam nie mogę. Całą wystawę pod względem fotografowania przedmiotów oddano w dzierzawę jednemu przedsiębiorcy; zresztą nic jeszcze nie jest urządzono, nic nie ukończono, a rysunki jakie oglądacie w ilustracjach francuzkich lub niemieckich, są to utwory fantazyi, oparte na połowie rzeczywistości. Bujna wyobraźnia artystów zapełnia braki i próżnię.

Michał Szymański.

na czole, był piękny jak owe fantastyczne rumaki legend szatańskich, które unoszą jeźdźca do zagrobowych krain, a głowa jego jakby żywa wychodziła się zdawała z szerokich ram obrazu i zginać niechętnie pod ręką pana.

W całym gorącym oświetleniu pejzażu, w słonecznych tonach, które gdzieniegdzie przebiegały leśne sklepienie, znać było skwarną godzinę południa, harmonizującą z południem życia. Na koniu i na jeźdźcu widoczny był bieg przedchwilny; wędziło konia biała okrywała piana; jeździec trzymał niedbale w ręku kapelusz, jakby chciał ochłodzić rozgorzałe czoło.

Cały portret, wystudyowany, wymodelowany po mistrzowsku, znać nie tylko przez malarza ale i psychologa, dawał doskonały obraz ciała i ducha człowieka; każdy szczegół podnosił i tłumaczył całość, przyczyniając się do ogólnego wrażenia. Raz spojrzawszy, trzeba było patrzeć coraz dłużej, wczuwać się w rysy i w wyraz. Twarz piękna choć nieregularna uderzała jakimś rozkipiałym życiem, jakąś narzucającą się potęgą. Ciemne, gęste zwoje włosów ocieniały czoło wielkie, pełne wypukłości, przetrzniete wyraźnymi żyłami, które za lada wzruszeniem musiały krwią nabiegać, jak zwykle uludzi niepoahamowanych uczuć. Łuk czarnych, gęstych brwi łączył się prawie cienką linią nad nosem trochę podniesionym, hardym, ale o wdzięcznych i wyrazistych konturach. Usta pod miękkim zarostem były krwią nabiegłe, wilgotne; wierzchnia warga podnosiła się dumnym, wyzywającym uśmiechem i odsłaniała perłowe zęby. Oczy ogniste, nieokręślonego koloru, złoto-siwe, patrzyły przed siebie prosto, jasno, a jednak nakazująco. Dolna część twarzy i pewne zaręsy brody, zdradzały upartą wolę.

Cała twarz i postawa tego człowieka miała coś namiętnego i gwałtownego razem; zdawał się piersią szeroką chłonać całe powietrze w oddechu, ogarniać wszechświat wejrzeniem sokolem. Znać było że nie mu się oprzeć nie zdoła; ręka jego była drobna, sucha, a jednak widoczną w niej była siła żelazna; pod jej lekkim naciskiem kark konia zginał się aż do ziemi. Znać było, że gdy te oczy zapali uczucie jakie, gniewu, nienawiści, miłości, będą one mglić się rozkoszą i piorunować naprzemian. Znać było że gdy te brwi się ściągają, gdy te żyły krwią nabiegają, człowiek ten, tak ujmujący, tak wdzięczny, mógł stać się strasznym dla siebie i drugich, bo jakaś atmosfera walki i burzy zdawała się go otaczać, płomień wewnętrzny wulkanu przeświecały w oczach, połyskiwały na twarzy, bladej namiętną bladeścią południa. I nie napróżno zapewne malarz zawiesił nad głową jego ciężkie chmury, brzemienne gradem i gromem, nie napróżno otoczył go parnym powietrzem. Myśl obrazu uwydatniała się w akcesoryach i jak groźba przyszłości, zdawała się ciężyc nad hardą głową młodzieńca, który w nakazującej postawie, w całej potędze piękna, młodości i siły, zdawał się świat i ludzi wyzywać, pewien przyszłości, spragniony życia, niezdolny pohamować lub oszczędzać siebie i zatrzymać się na raz obranej drodze.

Przed tym obrazem stawałem nieraz godziny całe, bo dzieckiem już zwabił mnie do niego jakiś pociąg nieopisany; z rąk niańki pochyliłem się do tego konia, który zdawał się patrzeć na mnie i całą piersią występować z obrazu, dumny jako pan jego, a jednak pokonany; pochyliłem się i do człowieka, do którego rysów zbliżała się twarz moja dziecienna.

Ojciec mój zauważał nieraz to podobieństwo, i wówczas wzrok jego spoczywał na mnie brzemienisty niepokojem, i wówczas zwracał troskliwie myśl moją od marzeń i rojeń bezcelnych, do ścisłych nauk, które według niego były podstawą przyszłości.

Wzrosłem pośród dwóch żywiołów, które napoły rozrywały ducha mego. Poszedłem za kierunkiem nakręślonym mi przez wolę ojca, bom wierzył w niego, bom zrozumiał w końcu i podzielił głębokie i praktyczne myśli jego, bom pojął że siła uczucia i wyobraźni powinna być poddana stęrowi rozumu; ale siły te nie zamiłkły we mnie, i nieraz w samotnych godzinach mojego spoczynku popuszczałem im wodze, a celem marzeń moich był ten piękny, hardy młodzieniec i dziwne losy jego, a pragnieniem tajemnym było ujrzeć go, zdobyć to serce, które musiało przecierpieć tyle, i pogodzić je z życiem i ludźmi miłością moją.

Teraz, gdy mój rozejrzał się w papierach i rachun-

kach ojca i objął stér rozległych interesów, objąłem także zarząd majątku stryja. Ojciec mój zwykł był odwiedzać go raz lub dwa razy do roku; teraz obowiązek ten spadał na mnie. Chciałem wprzód względem niego zasięgnąć jakich szczegółów od matki, ale ta znała go w bardzo dawnych czasach i miała dla niego jedną tylko nazwę: waryata. Z całej rodziny z jedną tylko siostrą łączyły go ściśle stosunki, ale od czasu jej śmierci zamknął się tak samotnie, że nikt nie znał jego życia, tylko krążyły o nim jakieś legendy fantastyczne, podbudzające wyobraźnię.

Wybrałem się więc do niego, bez żadnej wiadomości o jego charakterze, przywyknieniach, sposobie obejścia. Mieszkał o parę mil od nas zaledwie. Koło południa kazałem osiodłać sobie konia i puściłem się sam jeden leśnymi drożynami, znanymi mi oddawna.

Miałem zaledwie półtoręj godziny drogi przed sobą i serce moje uderzało pewnym niepokojem, gdy tak oko w oko miałem spotkać się w końcu z człowiekiem, który od lat dziecięcych był marzeniem mojem.

Był to prześliczny dzień październikowy; drzewa błyszcząły, odziane cudnymi barwami jesieni, perliły się rosą, rozsianą po kobiercu mchów i liści opadłych. W głębiach lasu panowała głucha cisza, tylko niekiedy przerywał ją klekot drewnianych dzwonek, zawieszonych u szyi krów, hukanie pastuszków, lub szelest sarny przelatującej wśród gąszczów zarośli.

Oddawna żyjąc w gwarnych miastach, odwykłem od tych obrazów; rozglądałem się więc naokoło z rozkoszą, oddychałem pełną piersią, pojąc się swobodą tego słonecznego święta natury, puszczając wodze myślom i koniom.

Jechałem tak długo bardzo, zmylając drogę, a gdy się rozejrzałem dokoła, słońce było już blizkie zachodu, a ja byłem zbłąkany wśród leśnych manowców, zupełnie mi nieznanymi. Błądziłem długo po lesie, nie mogąc dobić się do żadnej wsi, do żadnej osady, wśród nocy zapadającej szybko, zgubiony w ciemnościach. Koń mój równie jak i ja upadał ze znużenia i głodu, gdy w końcu trafił wyprowadził mnie na właściwą drogę. Las przerzedzał się zaczął; na górze, przy blasku gwiazd, rozpoznałem gotykę wieżę mego stryja. Pierwszy raz w życiu zbliżyłem się do niej, ja, com na nią tyle razy spoglądał zdaleka. Skała na której była zbudowana, miała strome wejście, jak gdyby ludzi odstraszyć chciała; zsiadłem więc z konia i prowadząc za sobą zmęczone zwierzę, zacząłem piąć się w górę, kierując się światłem bijącym z okien najwyższego piętra. Wokoło wieża otoczona była wysokim murem, który zasłaniał zupełnie widok dziedzińca i zamykał się ciężką bramą. Chwilę stałem przed nią zakłopotany, nie mogąc zdać sobie sprawy z godziny i rozmyślając co począć, bo żaden żywy duch się nie pokazywał, i gdyby nieświatło w oknach, można było uwierzyć że to pałac umarłych. O odwrocie trudno było myśleć; wieś żadna nie znajdowała się w pobliżu, ale nie wiedziałem także jak dostać się do wnętrza. W końcu, próbując otworzyć bramę, domacałem się dzwonka. Widocznie zastępował on tutaj róg starożytny, na którego dźwięki spuszczano przed gośćmi zwodzone mosty dawnych warowni. Uradowany, pociągnęłem go gwałtownie, słuchając jak głos jego rozlegał się przeraźliwie w cichym powietrzu i gotując się już do wejścia. Ale odpowiedziało mi tylko szczekanie gwałtowne kilka brytanów, które wyjąc i ujadając zbiegły się pod bramę.

Teraz w duchu dziękowałem Bogu, że wysokie mury broniły mnie od ich wściekłości i czekałem, rychło ktokolwiek w domu, zbudzony tym hałasem, wyjdzie na spotkanie moje. Ale nadzieja ta była daremną: próżno dzwoniłem i dzwoniłem, próżno psy szczeptały; dom patrzył na nas nieruchomie oświetlonymi oknami i nie dawał znaku życia. Zły i znudzony, przemyślałem już o odwrocie, gdy nagle, jakby na szyderstwo, doleciał mnie dźwięk skrzypców, a pomimo znużenia i głodu, struna artystyczna ozwała się we mnie i przykuła mnie na miejscu. Wkrótce też wszystkie władze moje skupiły się we władzy słuchania.

Okna były otwarte, a pośród ciszy nocnej dźwięki spływały do mnie czyste, wyraźne, drgające w powietrzu. Skrzypce były widać zabytkiem stariej

kremonskiej szkoły, bo miały dźwięk niemal ludzkiego głosu, skarżyły się, płakały, szalały wszystkimi tonami ludzkiej piersi. Ręka co niemi wlaowała, była ręką mistrza, trudności zdawały się nieistnieć dla niej, a smyczek posłuszny wykonywał to, co za niepodobne prawie uważanem bywa w zakresie materyalnych trudności. Ręka więc i instrument powolnemi były fantazyi mistrza, służyły mu za doskonale narzędzia; to też nigdy może dźwięk nie stał się doskonalszym odbiciem woli i usposobienia artysty. Ale muzyka ta była rażąca, przykra, straszną nieledwie. Ludzki głos skrzypców oddawał jakieś nieludzkie uczucia. Kiedym ich słuchał, porywał mnie jakiś wir szaleństwa, jakiś szalony zwątpienia i sarkazm piekielny, a jednak i ból przeraźliwy ukryty był w głębi tych szalonych dźwięków, miesających się w dzikięj, niepojętej harmonii. Ja drżałem słuchając zdumiony, gdy jękiem przeciągłym konała w powietrzu lub chichotała w koło mnie śmiechem obłąkania. A jednak muzyka ta budziła we mnie jakieś wspomnienia, nie była mi obcą zupełnie. Mistrz wykonywał jakieś stare, klasyczne dzieło, które słyszałem już kiedyś i nie zrozumiałem go dokładnie, czy też ten co je grał w tej chwili, napiętnował swoją potężną indywidualnością cudne dzieło, tak że je zmienił do niepoznania. Myśl moja nad tem zadaniem pracowała daremnie, aż w końcu rozwiązało je szalone scherzo finału; to była sonata szatańska Tortiniego. On sam tak wykonywać ją musiał.

Skrzypce umilkły; ja słuchałem jeszcze, i długa chwila upłynęła, zanim ostatnie echa zamarły, a ja powróciłem do uczucia rzeczywistości i z nowym zapalem rzuciłem się do dzwonka, bo teraz całą duszą pragnąłem ujrzeć stryja. Sam artysta z usposobienia, pokochałem go w tej chwili bratnią myślą; ale i teraz brama otworzyć się nie chciała, i teraz jedynym objawem życia było wściekle ujadanie psów. I znać mieszkańcy żadnej na to nie zwracali uwagi, bo po chwilowej przerwie skrzypce odezwały się znowu. Ale teraz od pierwszego pociągnięcia smyczkiem poznałem znaną nowożytną nutę modlitwy Mojżesza. Artysta przerzucił się z niepojętą łatwością, z rodzaju w rodzaj, a tu i tam był skończonym mistrzem. Prośba potężnego ducha brzmiała powagi pełna, natchnionym hymnem. Modlitwa ta była najulubieńszym śpiewem moim; nie mogłem oprzeć się pokusie i równo ze skrzypcami śpiewać zacząłem: „Dal tuo stellato soglio.“ Głos mój łączył się dziwnie z głosem starych skrzypców, zlewał się z niemi w ton jeden. Jakby jakaś nieśympatyczna wiązała mnie ze skrzypkiem; odrazu, mimo oddalenia, porozumieliśmy się muzykalnym zmysłem; czułem sam żem zakończył modlitwę z potęgą natchnienia. Nigdy głos mój nie rozwinął się silniej, dźwięczniej, nie rozbrzmiewał tak metalicznie i czysto jak wówczas, lecąc po rosie nocnej, pod gwiazdzistym sklepieniem nieba. Gdy skończył, byłem sam upojony harmonią, tak żem zapomniał przez chwilę o przykrém położeniu obecnem.

Ale widocznie śpiew mój zrobił większe daleko wrażenie od gwałtownego dzwonienia i szczekania psów, bo teraz ktoś zbliżał się od domu do bramy i obracał ciężki klucz w zamku. Wreszcie zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały, a w bramie ukazał się starzec przygarbiony wiekiem, z latarką zapaloną w ręku. Spojrzałem na niego ciekawie: twarz jego miała ten dziwny, wpół zdziwały wyraz, jaki nadaje ciągła samotność; łysa czaszka świeciła wśród ciemności nocnej jak księżyc za chmurą; małe, przenikliwe piwne oczy, odwykłe od ludzi, zwracały się na mnie. Stałem właśnie wsparty na koniu, czekając aż bramę otworzy. Podniósł w górę latarkę, ciekaw twarzą moją i zobaczywszy, cofnął się o krok jeden.

— Kto pan jesteś? zapytał drżącym głosem.

— Jestem, odparłem, Maryan L., synowiec tutejszego pana. Zabłądziłem w lasach i dlatego tak późno przybyłem. Czy mogę zobaczyć stryja?

— Synowiec mego pana, powtórzył, ciągle wpatrując się we mnie, powiniennem to był sam odgadnąć. Toż to istny jego obraz za młodu. Chodźże pan, chodź.

— Czy mogę widzieć się ze stryjem? zapytałem.

— A jakże, skoro usłyszał śpiew pana, kazał zaraz otworzyć bramę, nie pytając kto jesteś.

Mówił to, wprowadzając mnie na dziedzińiec i nakazując milczenie brytanom, które tuż za nim, warcząc, pokazywały zęby i czekały tylko skinienia, by rozedrzeć na szmaty śmiałka który tu wkraçał.

Na wołanie starca, drugi służący, równy mu wiekiem, ukazał się przy stajni stanowiącej jeden bok dziedzińca i zdumiony spoglądał na mnie, przecierając oczy, jakby nigdy w życiu gość żaden nie ukazał się w tym domu. Przewodnik mój oddał mu konia, przykazując by o nim pamiętał jak o wierzchowcach swego pana, i dalej powiódł mnie do domu.

Byłem przygotowany na wszystko, ale nie na to co mnie tu czekało. Dom ten był zdobny we wszystko, co tylko bogactwo, kierowane dobrym smakiem, stworzyć wykwinnego może. Z wielkiej sieni, przystrojonej w jelenie rogi, na których rozwieszoną była cała zbrojownia, wprowadził mnie do bocznej sali i zapalił świece w kandelabrach stojących na kominku. Ja przypatrywałem się wszystkiemu w milczeniu, podobny człowiekowi, który dostał się do zaczarowanego zamku i oczekuje coraz nowych dziwów.

Mój przewodnik zabierał się do wyjścia, gdy nagle zwrócił się do mnie, jakby przypominając coś sobie.

— A może pan głodny? zapytał.

W istocie, teraz dopiero przypomniałem sobie, że umierałem z głodu i powiedziałem to staremu. Wyszedł, zostawiając mnie samego.

Pokój w którym się znajdowałem, był to rodzaj gabinetu lub biura; stół mahoniowy, kilka stołków i foteli, spora szafa i wielkie biurko pod oknem założone papierami, stanowiło całe jego umeblowanie. Ale wszystkie te sprzęty, do których znać nie przywiązywano wagi, były jednak wytworne. Odrzwia dębowe rzeźbione, okna z lustrzanymi szybami, sadzonkami w ołów, posadzka i obicie, wszystko to razem stanowiło całość wykwinną. Rozpatrywałem się w koło w milczeniu, gdy powrócił mój przewodnik, niosąc tacę zastawioną zimnymi przekąskami. Zabrałem się do nich z apetytem dwudziestoletnim, zaostrozonym całodziennym błądzeniem po lesie.

— Racz pan wybaczyć, mówił stary sługa, to wszystko czem służyć mu możemy. Kucharz mieszka ztąd daleko aż we wsi, a gości nie miwamy nigdy. Teraz mój pan czeka na pana.

Kieliszek, który trzymałem w ręku, zadrżał mi na te słowa, postawiłem go nietknięty na stole; chwila każda zwłoki była mi nieznośną. Powstałem, gotów iść za nim.

Starzec spoglądał na mnie z dziwnym zajęciem, z rodzajem rozrzewnienia i wdzięczności nieledwie, jakby za to żem odważył się zapukać do tej niegościnnnej bramy i potrafił zjednać sobie wejście do ich pustelni. Prowadził mnie szerokimi wschodami, zasłanymi miękkim dywanem, aż na najwyższe piętro domu, tam otworzył drzwi i sam się cofnął. Szedłem za nim jakby odurzony; wszystko com tu widział, odpowiadało tak mało temu com wyobrażał sobie. Ten dom tak wytworny, opatrzony we wszystko co tylko do wygody potrzebne, zgubiony gdzieś wśród lasów, strzeżony przez rozjadłe brytany, ta brama otwierająca się jak w bajkach na dźwięki muzyki, wszystko wydawało mi się snem fantastycznym. Teraz stałem na progu obszernego salonu i powiodłem okiem w około, szukając stryja.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Chomonto i siodło.

(Bajka).

Wierzchowca pierwszej rasy, co ma nogi hyże  
Co kark prześlicznie nosi, co uszami strzyże,  
Co wesoły pod siodłem dumnie pana dźwiga,  
Co rowy przeskakuje, co wiatry wyszciga,  
Arabskiego bieguna, furman niedołęga  
Do obcej mu roboty, do wozu zaprzęga.  
Broni się rumak, cofa, zatrzymuje w bramie,  
Wierzga, zrywa postronki, wóz w kawałki łamie.  
Z tych kilku, bracia mili, nauczmy się wierszy,  
Że ostatnim w zaprzęgu, kto pod siodłem pierwszy.